



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

OSKAR KOLBERG.

Przerwała się nić bardzo szlachetnego istnienia: dnia 3-go bieżącego miesiąca zmarł Oskar Kolberg, etnograf, zbieracz badań i pieśni ludowych, z których utworzyło się pomnikowe dzieło, obecnie liczące trzydzieści jeden tomów: „Lud, jego zwyczaje, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusła, zabawy, pieśni, muzyka, tańce. Materiał do etnografii sławiańskiej“. Ostatni tom nosi tytuł: „Ziemia przemyska“ a ogromny pozostały materiał mieści w sobie nieprzeliczone skarby pracy i badań. Urodzony w 1815 r. we wsi Przysusze w Opoczyńskim, pochodził on ze ziemczalego szczepu lechickiego Obotrytów, z Kołobrzega; ojciec jego Julian Kolberg przybył za czasów pruskich, jako urzędnik, lecz umiał się tak żyć ze społeczeństwem, wśród którego osiadł, że w 1819 r. został powołany przez Staszycę na katedrę geodozyi w uniwersytecie warszawskim.

Wysztalcenie pierwsze pobierał w liceum warszawskim i wtedy objawiło się w nim wielkie ukochanie muzyki, w której mistrzem pierwszym był mu Dobrzyński. Przepowiadano chłopcu wielką przyszłość w tym kierunku; po skończeniu nauk w Warszawie wysłali go też rodzice dla studyów muzycznych do Berlina, gdzie oddawał się im dwa lata pod kierunkiem najlepszych nauczycieli, a gdy wrócił do kraju puścił się na wędrowną między lud, już z myślą badania jego pieśni. Ale wyjechał wkrótce za granicę, najpierw na Szląsk, potem dalej w Tatry, na Ruś Galicyjską, na Węgry, do Kroacyi, aż z kolei

przyszły Włochy: Wenecya, gdzie bawił najdłużej i tu pieśni ludowe—pieśni gondolierów, kołysząc go melodyą swoją, zaczęły mu się przedstawiać jako przedmiot dla badań porównawczych, zwłaszcza, że spotykał się tu i ze sławiańską pieśnią ludu dalmackiego.

Gdy wrócił do kraju, potrzeba pracy na chleb kazała mu zostać nauczycielem muzyki. Wyjechał na Białoruś, gdzie spotkał się z nowemi motywami melodyj ludowych, które spisując i opracowując, stworzył operetkę sielską. Potem w ciągu lat następnych napisał, także na tle stosunków ludowych operę „Janek z pod ojcową“ z tekstem Gregorowicza, „Wiesław“ do słów Pruszkowej, ta przecież ostatecznie wykończoną nie została, ale była to faza przejściowa w twórczości jego, w której nastąpił wkrótce przełom ważny. Aż dotąd był z powołania muzykiem, teraz myśli jego biorą kierunek inny, głębszy, rozleglejszy, wśród czego muzyka staje mu tylko do pomocy i pracę jego czyni pełniejszą, doskonalszą. W r. 1857 wydał książkę: „Pieśni ludu“ z nutami i rycinami, z opisem przedstawionych typów różnych okolic, z przedmową, w której pisze: „Oddaję nutę w nieskażonej prostocie tak, jak wybiegła z ust ludu, bez żadnego przystroju harmonijnego, bo mam przekonanie, iż najdzielniejszą jest w samorodnej, niczem niezmaconej czystości, tak, jak ją natura natchnęła. Pieśń brzmi nieprzerwanie po niwach i gajach naszych, płynie z wodą i wiatrem, odbija się o ściany naszych karczem, dworów i chat, a tam, gdzie powstała, najsilniej za serca chwytą“.

Publiczność przyjęła sympatycznie to, co zrodziło się z sympatyj, z uczucia piękności rodzimej, a teraz myśl twórcza autora dojrzuje pełniej w jego umyśle, widnokrąg jej rozszerza się i obejmuje zakres większy. Wsłuchuje się on głębiej w głosy muzyki, brzmiejącej w koło niego, wiąże harmonijnie jej tony z barwami obrazu, na którego tle gra i powstaje z tego rzecz nie-

pospolita. W 1865 r. wydaje on pierwszy tom dzieła, któremu ma poświęcić życie całe.

Początek obejmuje malowidło stron jego rodzinnych: „Sandomierskie“, a obok wielkiej zasługi zbieracza: pracowitego, sumiennego, rozumnego zbieracza, poetyczność jakaś swojska, ciepło i prostota wyrazu pociąga czytelnika a on oddaje teraz tej pracy życie całe. Wkrótce po wyjściu tomu drugiego, który przedstawia obraz Kujaw, porzuca pracę nauczycielską, choć nie posiada żadnego majątku i znosić mu trzeba braki, braki nieraz potrzeb najpierwszych, ale entuzjasta szlachetny, nie czuje tego, dzieło przedsięwzięte jest mu celem, zasłaniającym własną jego istotę, lecz na szczęście przyjaciele jego czuwają, otrzymuje posadę w Komisji Skarbu i to daje mu zapewnioną podstawę spokojnego istnienia, bo trzeba dodać, że sam jest wydawcą dzieł swoich, a prace w tym zakresie nie przynoszą u nas zysków. Przecież dzieła jego nie przechodzą bez zwrócenia uwagi. Krakowskie Towarzystwo Naukowe daje mu przyrzeczenie zapomogi na opracowanie stron tamtych, gdzie dla zbierania studyów wyjeżdża, zamieszkuje tam i wydaje czterotomowe dzieło: „Lud krakowski“. Od r. 1884 osiedlił się w Krakowie, poświęcony zawsze jednako pracy swojej, w której tonie duszą i sercem, a teraz otacza go już uznanie powszechne. Członek korespondent krakowskiej Akademii Umiejętności, jest członkiem Petersburskiego Towarzystwa geograficznego, członkiem Paryzkiego Towarzystwa etnograficznego, członkiem takiegoż towarzystwa w Lizbonie, członkiem Towarzystwa muzycznego Warszawy, Krakowa, Lwowa, Pedagogicznego Towarzystwa Tatrzńskiego, Krakowskiej czytelni akademickiej, Koła literackiego we Lwowie—bo istota jego szlachetna współczuje ze wszystkimi kierunkami pracy i usiłowań dążących do podniesienia uczuć i myśli—duszy ludzkiej.

Lecz sędziwy już był i spracowany, przecież starość to była szczęśliwa i podobna do pogodnego zachodu dnia, który był jasnym i spokojnym. Pracował do końca, zamieszkując w domu prof. Kopernickiego, z którym łączyła go dawna i serdeczna, wierna przyjaźń, i do chwili śmierci miał w koło siebie grono kochających, szanujących go ludzi. Obok prof. Kopernickiego była przy jego łóżu śmierci p. Józefowa Blizińska, która w ostatnich czasach przepisywała przeznaczone do druku rękopisma zasłużonego starca, była p. Wanda Żeleńska, żona kompozytora, a śmierć przyszła lekko i wywołała łagodnie w zaświat pięknego, czystego ducha. Pogrzeb odbył się d. 5 Czerwca przy wielkim współudziale ludzi przyjaznych mu i umiających cenić zasługi jego pracy i cnoty uczciwego, czystego życia. Kondukt pogrzebowy wyruszył z ulicy Sławkowskiej a u bram domu, który był ostatnim jego mieszkaniem na ziemi, dawny, doświadczony przyjaciel: Ksawery Konopka, przemówił słowem ostatniego pożegnania i złożył na trumnie wieńiec od ludności ze wsi Modlnicy w Krakowskim, gdzie przemieszczał lat kilka, zbierając materiały do prac swoich. Jakkolwiek dzienniki krakowskie projektowały, aby zamiast wieńców na trumnę, złożono fundusz na wydawnictwo dzieł zmarłego, należał mu się od ziemi jego kwiat—kwiat choćby polny, i ta rozsądnie pozytywna rada nie została usłuchana, bo zgłuszyło ją uczucie: na trumnie złożono wieńców blisko dwadzieścia, a był między nimi z Warszawy od towarzystwa *Lutni*, której był członkiem honorowym. Były wieńce od krakowskiego *Koła artystyczno-literackiego*, od *Towarzystwa Oświaty Ludowej* i wiele innych. Na cmentarzu, gdzie zwłoki złożono obok mogiły s. p. Szujskiego, przemawiał członek Akademii Krakowskiej D-r Rastafiński, w imieniu młodego pokolenia przemawiali akademicy: Ehrenberg i Nawrocki. Dodać należy, że na wieść o śmierci Kolberga Akademia Umiejętności, której był członkiem, wywiesiła flagę żałobną.

Pozostała po zmarłym puścizna notat i rękopismów przejdzie na własność prof. Kopernickiego, któremu zmarły przekazał ją testamentem, a jest tego ogrom — ogrom pracy i badań, słuszne też były słowa prof. Kopernickiego przy grobie zmarłego, że jego prace „są tak świetnym nabytkiem dla etnologii polskiej, słowiańskiej i powszechnej, jakim jeszcze żadnego kraju i żadnego narodu nie obdarzyła praca i nauka jednego człowieka“.

A ten człowiek posiadał całego majątku 2.100 zł. reńskich. Przeznaczył go na wydawnictwo swego dzieła, prócz kilku drobnych zapisów dla zecerów, co jest szczegółem wzruszającym. Kochał pracę swą i łączył się nicią sympatycznego uczucia z tymi, którzy mu w niej stali do pomocy. W sam dzień zgonu sprawiano mu wielką przyjemność — radość nawet: przyniesiono do łóżka pierwszy arkusz druku najnowszego jego dzieła. Spis systematyczny wszystkich prac jego, oczekuje jeszcze ręki bibliografa, ręki cierplivej i umiejętnej, bo są tego stopy foliów, a zwrócić nam jeszcze należy uwagę na to, że wszystkie te prace, których dokonał, to ogrom materiału zdobytego dla nauki wręcz przez niego: że czerpał tu nie z bibliotek i zbiorów już dokonanych, ale brał wprost od ludu, z jego ust, z jego żywego słowa, pracując tak przez lat pięćdziesiąt. W r. przeszłym obchodził w d. 31 Maja jubileusz tej pracy swojej półwiekowej, a nigdy nikt nie pracował z czystszej miłości swego przedmiotu, bez żadnego pobocznego względu, bez żadnej myśli na własną osobistość zwróconej, i postać to człowieka tak piękna i szlachetna, przed jaką kłonić się powinny głowy ludzkie.

M. I.

GOSPODARCZE KSZTAŁCENIE KOBIETY.

Niemiecka pisarka i filantropka, Lina Morgenstern, podniosła w tym czasie ważną kwestyą gospodarczego kształcenia dziewcząt klas ludowych, uważając to jako przygotowanie do życia w rodzinie, potrzebne kobiecie na każdym szczeblu społecznym. Z tego względu żąda ona, aby w elementarnych i zawodowych szkołach dziewcząt nauka gospodarstwa domowego została wprowadzoną i była przedmiotem obowiązującym wszystkie uczennice, bo wszystkie uważać trzeba jako przyszłe gospodynie domu. Jak jest rzeczą pożądaną, aby każda kobieta była obznajomioną z zasadami pedagogiki, bo w każdej przewiduje się przyszłą matkę i wychowawczynią, tak jest rzeczą niemniej potrzebną, aby każda nabyła pewnych pojęć o gospodarstwie domowym, bo to tworzy podstawę tej ekonomii rodzinnej, na której opiera się ekonomia społeczna, stanowiąca o bogactwie państwa, narodu. Pojęcia te zazwyczaj wyrabiać sobie miejsce w umysłach. W Szwajcaryi wędrowni nauczyciele gospodarstwa domowego, gotowania, czyli żywienia rodzin, urządzają z ramienia rządu lekcye zbiorowe tych przedmiotów dla kobiet z klas ludowych. W cesarstwie niemieckim szkoły takie zazwyczaj się otwierają z inicjatywy towarzystw przywatnych i w Berlinie jest ich dwie: *Towarzystwo wychowywania dziewcząt, kończących szkoły* otworzyło szkółkę taką na Schulstrasse Nr 67, oraz stowarzyszenie kobiece *Letteverein* przy Elisabethstrasse.

Nauczanie takie nie od dziś przecież zajmuje umysły, widzące w tem ważny przyczynek potrzebnej kobiecie uzdolnienia się do pracy życia w rodzinie. W 1884 r. wyszła w Gotha, wspomniana wtedy przez pismo nasze książka napisana przez kobietę, Maryą Rebe, na użytek klas ludowych wiejskich: „Nauka gospodarstwa domowego w szkole ludowej wiejskiej, w połączeniu z nauką robót kobiecych“. Dobra ta książka, podzielona na pięć części, zawierała obok wskazówek dla racjonalnie prowadzonego gospodarstwa domowego w różnych jego częściach i pewne nocye z higieny, konieczne potrzebne kobiecie matce i naczelnicze ogniska domowego. W Anglii, w Manchester, zebrał się w 1878 roku *Kongres ekonomii domowej* na którym lord Henryk Cole przemawiał za wzniesieniem rządowej szkoły ekonomii domowej: *National College of Domestic Economy*, o czem wspominało również pismo nasze, podając przemówienie miss Lancaster, żądającej, aby już w szkołach elementarnych dawano kobiecie pewne pojęcia higieny, odnośnie do żywienia się rodziny. Druga kobieta, Mrs H. Roby podniosła głos w kwestyi mieszkań, i ta także nalegała, aby została zaprowadzona w szkołach kobiecych angielskich nauka gospodarstwa ze względem, tak na zdrowie, jak i na rozumne urządzenie budżetu rodzinnego, co łączy się ze sobą najściślej, bo gdy grosz zostanie nierozważnie wydany na rzecz mniej potrzebną, zabraknąć go musi tam, gdzie jest niezbędnym dla utrzymania zdrowia i pomyślności rodzinnej.

Nauka taka jest niewątpliwie potrzebną w szkołach kobiecych, zwłaszcza klas niższych, bo tu szkoła musi w znacznej części zastępować braki wychowania domowego i tej nauki, którą przynosi praktyka życia wśród rodziny, poza którą praca na chleb wczesnie wyprowadza dziewczę ubogie. W klassach zamożniejszych nauka ta powinna przychodzić córkom od matek, przychodziła niegdyś, lecz trzeba sobie postawić pytanie: zali przychodzi i obecnie? Rozszerzenie handlu i przemysłu, wkroczenie jego w wiele gałęzi tego działu, który przypadał na domowy przemysł kobiety, wywarło tu złe skutki. Bardzo wiele kobiet powiedziało sobie, że nie warto jest trudzić się nad wyrabianiem tego, co kupić można nie zbyt drogo; obliczono przytem, że i pracowity

wyrób domowy nie jest bez kosztu, że zatem pewien zysk mały, jaki daje praca domowa, nie opłaca dostatecznie zachodu, łączącego się z taką fabrykacją domową, zwłaszcza, gdy ekonomiczne stosunki kraju zmieniły warunki swoje. Gospodarstwo domowe kobiety poczęło też wkraczać na tory nowe — ścieśniło się i ograniczyło do zajęć najkonieczniejszych.

Jak to wpłynęło na dobrobyt rodzin? Czy utracone zyski drobne na różnych — na rozlicznych pozycjach gospodarstwa domowego, nie wytworzyły razem summy, której brak zaznaczył się z kolei w kaletach rodzin, i przysłowie starej mądrości, że ziarno do ziarnka, to zawsze miaraka jakaś, czy nie wykazało się prawdą? A należy tu dla rozjaśnienia sprawy postawić pytanie jedno jeszcze: czy nie tą to drogą wkraść się w rodziny zbytek? Handel od tego jest handlem, aby wszelkimi sposobami miejsca zbytu sobie poszukiwał, aby zbyt rozszerzać pragnął, więc przyszła kolporterka, przyszły nęcące wystawy sklepowe, roztaczanie przed kupującym mnóstwa przedmiotów coraz to wytworniejszych i wzrosła stosunkowo liczba pożądan, wzrosła chęć używania — przyszedł zbytek, marnotrawstwo nieznane przeszłości. Człowiek jest istotą słabą, ulegającą wrażeniom, lecz jest to rzeczą jego godności, jego siły ducha, aby się nad to podniósł, a głównie, aby wyższe upodobania, ukochania rzeczy wyższych, czyniły go niedostępnym dla pokus tego rodzaju — aby używania szlachetniejszego broniło go do słabości używań niższych, ale nie wszyscy i niezawsze takie zbroje noszą na sobie. Jak Kochanowski lękał się wpuścić w dom swój kasztelana, tak lękać się trzeba przypuszczenia do siebie sposobności stykania się ze zbytkiem — wprowadzenia mniejszego, większego zbytku w życie, w otoczenie nasze, bo często jest to wyłom, czyniony w tej fortecy, która zabezpiecza szczęście rodzin przez oszczędność dla dobrobytu naszego potrzebną. Krok jeden w kierunku pochyłym, niemal gwałtem porywa dalej, i jest zawsze rzeczą lepszą, bezpieczniejszą na pokusy się nie narażać, niż później z niemi walczyć, choćby dla tego, że nikt nadto sił nie ma i nie należy marnować ich na te rzeczy niższego porządku życia, aby je człowiek miał na chwile jego wyższe: na walki natury podnioslejszej.

Kobieta gospodarna jest niezmiernie rzadko, i chyba w wyjątkowych tylko momentach, rozrzućna, ale zostawiając na boku te oddziaływania psychologiczne — oddziaływania wagi niemałej, weźmy drugą stronę rzeczy. Gdy kobieta mało-zamożna, średniozamożna przestaje pracować w rodzinie, gdy odsuwa na bok przemysł domowy, musi z konieczności dla równowagi w budżecie poszukiwać zarobku na drodze innej, i to wytworzyło ten nadmiar robotnic z klas społeczeństwa średnich, które ciężeniem swoim bardzo nieszczęśliwie oddziałują na los robotnicy, z konieczności skazanej na pracę zarobkową poza ogniskiem domowym. Mnogość ta obniżyła przez konkurencyą cenę pracy kobiecej, bo pracodawca wie, że w pewnych kierunkach robotnica — to legion, może zatem być pewny, że nie zbraknie mu nigdy rąk potrzebnych i zaczyna się u nas dziać ta rzecz smutna, która jest w stosunkach kobiecych — walką o pracę.

Nie samo nawet pragnienie zarobku, ale naturalna, wrodzona człowiekowi chęć zajęcia, wywarcie sił, danych nam przez naturę, popycha do tego. Gdy jedna, zamożniejsza połowa kobiet niezajętych pracą gospodarczą, zamienia się w rozbawione lalki, gdy w rodzinach odgrywają się nierzadko nieszczęśliwe dramaty, podobne do obrazka z owej starej bajki Krasickiego, w której mąż słyszy surowy głos magnifiki swojej: — Sprzedaj kontusz — sprzedaj duszę! ja na balik jechać muszę... druga połowa podstawia się dla tychsamych chęci używania z pracą swoją tam, gdzie jest to grzesznem wydzieraniem jej owoców owym uboższym, o własnej sile zmuszonym iść przez życie, które bez niej istnieć nie mogą. Można pozwać przed sąd surowo karcący tych wszystkich, ongi zbytujących, wszystkich lekiewiczów lub ospałych próżniaków z klas zamożniejszych, którzy, nie mając wskutek tego żadnych zapasów — nie odłożonego na chwilę

JÓZEF CHEŁMOŃSKI.

(Profil krytyczny).

(Ciąg dalszy).

cięższą, nie mogą potem prób losu przetrwać i przychodzą pomnażać nieszczęśliwie liczbę ludzi potrzebujących pracy. Niemniej przecież usta chleba łaknące, mają do niego prawo, ale prawo zarobku dla tych, którzy pracy nie potrzebują, nie istnieje. Poza sztuką, poza tą pracą wywołaną, która mandat swój otrzymuje z łaski bożej, poszukiwanie jej cheiwe dla zarobku jest czynem grzesznym i wytwarzać się to może tylko przez złe skierowanie tej pracy, której — jak powietrza — nie braknie nigdy i nikomu na własnej ścieżce, wśród wyznaczonego mu miejsca.

W zakresie pracy kobiecej gospodarność w rodzinie, łącząca się z wielu cnotami kobiecości, dająca im grunt i podporę dobrą, uregulować to wszystko może szczęśliwie — szczęśliwie dla jednostek i społeczeństwa, którego obyczaj rodziny nie cierpi przez to gwałtu, nie wylamuje się spod praw moralnych swojego ducha. Gdy Michelet wołał: — Robotnica! wyraz przeklęty... nie było to wyklęciem pracy kobiecej, jako takiej, nie było to jakąś niezdrową chęcią uczynienia z kobiety istoty biernej i niemożącej tego bogactwa ludzkości, które zdobywa nam praca. Gorące wzruszenie tego szlachetnego myśliciela powstało z widoku kobiety, której praca pozadomowa odbierała ją rodzinie i nadwierała prawa moralne, oparte na cnotach, potrzebnych kobiecie, aby spełniała przeznaczenie swoje wśród ludzkości. Z natury rzeczy polem pracy kobiecej jest przede wszystkim dom i rodzina; tam też najszcześniejszą ona jest i najdoskonalej pracującą, a społeczeństwo, gdzie dzieć się tak może na skalę najszerzą, — uważać trzeba za najlepiej, najrozumniej zorganizowane, ale trzeba na to, aby kobieta wyszła tu najdoskonalej wszystkie źródła pracy na jej dział przypadające. Gospodarstwo domowe jest, obok pracy wychowawczej, polem niewątpliwie najszerzym pracy kobiecej i bynajmniej nie niskim dla tych, którzy mają wzrok umiemy patrzeć w głąb, nie zatrzymujący się na powierzchni przedmiotów jedynie. Powtórzę tutaj słowa, wypowiedziane przez pismo nasze w pierwszej do czytelników swych odezwie, że kobieta gospodyni jest podskarbiną chleba w narodzie swoim i wszyscy znają tę dykcją popularną, że choćby mąż upracował sobie ręce po łokcie, nie zbierze majątku, jeżeli żona gospodarną nie jest. Tak... bo gdy pracowita i gospodarna, to podskarbiną chleba, to jego szafarka i stojąca u domowego ogniska niewątpliwie jego kapłanka, a skoro to rozumie i czuje znaczenie swoje nie tylko z jego strony pozytywnej, nikt nie jest wyższym od niej w godności — w dostojenstwie społecznym.

Wszelkie możliwe prace w domu spełniać i z tych prac tworzyć przemysł domowy, zaspakajający potrzeby rodziny — to w każdym razie najpewniejsze pole zarobku. Zanim się pole to porzuci dla innego, na którym zyski wyższymi się wydają, trzeba dobrze, aż do drobniaków najmniejszych, obrachunek uczynić: *biore... naprzeciw daje...* postawić i wtedy dopiero zawyrokujeć, ile praca u ogniska domowego stawia wyżej od istnienia poza domem, które w każdym razie, gdy jest tylko w oderwaniu od rodziny pędzone, zawsze pod summą ogólną wykazuje niedobór szczęścia. Szlachetne pióro napisało, że rodzina, jest to stowarzyszenie do szczęścia; prawda to niewątpliwa, gdyby też zrozumiała ją kobiety, pracy potrzebujące, usiłowałyby aż do ostatniej możliwości wszelkie w zakres gospodarstwa domowego wchodzące prace spełniać i nie zastępowałyby chciwie, czy nierozsądnie drogi tem innym które muszą już iść samotne o własnej sile, o podporze we własnej głębi swojej znajdowanej.

M. I.

„Wieczór“ uosabia tę płomienną, tytaniczną epokę ducha, w której „sięga on, gdzie wzrok nie sięga“, to jest, rozsuwając granice zakreślone uznaniami dotąd prawami, stwarza nowe o szerszych i wyższych promieniach. „Jako? — uraga on estetykom i prawodawcom sztuki — mówicie, że brzęczenia chrabąszczów, rechotania żab, zapachu macierzanki i wilgoci rosy wieczornej wymalować nie można? O ślepi i głusi — patrzcie!... I pokazuję im dzieła swoje — niekiedy zwichnięte i potworne, niekiedy genialne i zdumiewające.

Ale wysiłki takie zużywają ducha. Są one extazą, która przepala i wyniszcza. I Chełmoński, po kilku świetnych przykładach, stwierdzających, że dla wielkiego malarza wszystko jest możliwym do wymalowania, już więcej do nich nie powraca. Z latami uspakają się, staje się zrozumialszym dla publiczności i krytyków, i mniejszym nakładem ducha, a większym okiem i ręką, stwarza obrazy, medalowane przez sędziów wystawowych i zasypywane rulonami dwudziesto-frankówek przez handlujących płótnem malowanym.

Mnie jednak najsilniej ciągnie serce ku owym dziełom młodzieńczym, ku owym śmiałym a udatnym zamachom, które swego czasu wywołały taki popłoch, takie pluskanie i taki skrzek w naszym bagienku...

Obok „Wieczora“ błyszczy rówieśne mu „Babie lato“. To również obraz, który swego czasu nową erę malarzowi polskiemu zwiastował. Dziś ta dziewczka wiejska, która rzuciła się swobodnie na trawę, tak jak się dziewczuchy podobne rzucają, i naturalnym ruchem ręki pochwytuje pływającą w powietrzu pajęczynę, nie razi nikogo; przy pojawieniu się jednak swoim wydała się ogółowi prawie herezją. Jeszcze pokutował w sztuce sentymentalizm sielankowy, jeszcze artyści zaludniali wieś polską klasycyzmami Filidami i romantycznymi „wiochnami“, jeszcze Zośka, Jagna i Basia nie były dopuszczane przed czy publiczności inaczej, jak w teatralnym przebraniu. Obraz wyprzedził swoją epokę, i dlatego dziś, po latach piętnastu, wydaje się tak świeżym i tak w duchu szkoły najnowszej poczętym.

Trzecim z płócien oznaczonych rokiem 1875-tym, jest „Zajazd w miasteczku“. Praca ta odsłania od razu kilka typowych znamion talentu Chełmońskiego: doskonałą charakterystykę postaci, umiejętność naturalnego przedstawienia mas, poruszających się swobodnie i prawdziwie, a wreszcie nieodróżniony dar utrwalania na płótnie tego, co stanowi *nastroj* — rzecz-by można: *duszę* — danej chwili, danego wypadku, danej sytuacji.

Jakaż to typowa, polska jesień! Słyszysz niemal jak pod kopytami przemokłych koni pluszcze brudne błoto; czujesz, jak wilgoć pływająca w powietrzu osiada ci na ubraniu, na twarzy, na rzesach; doświadczasz prawie duszności w tej atmosferze zgęszczonej, ciężkiej, zgniłej, która stoi nieruchomo jak spleśniała woda, płódząc choroby zaraźliwe, zły humor i czarną melancholię...

Ludzie równie tu prawdziwi, jak przyroda. Leniwy rozgardyasz, cechujący nasze miasteczka, a będący gorączkowym dreptaniem na jednym miejscu, doskonale wyobrażony w żydowskiej bryce, przepelnionej krzyżującymi podróżnymi a nieruszającej się z miejsca — w „jaśnie wielmożnym“ szlachciu, do przewiezienia którego przygotowano aż cztery konie; w jakimś jeźdźcu, który z wielkim rozmachem, a ciężko i niezgrabnie dosiada wspinającą się wierzchowca, w osowiałych wreszcie postaciach, snujących się na planie dalszym. W ruchach ludzi i koni dużo tu

szorstkości prawdziwego życia — szorstkości, która oczom wydelikacowanym, a właściwie: zepsutym rozmyślnymi, malarskimi kłamstwami, wydaje się bezładną i dziką. Ta szorstkość przez czas długi raziła i krytykę i publiczność; dziś — ufam — jedna jak druga wiedzą już co o niej trzymać.

Zaznaczam szczegół ważny: wszystkie te trzy znakomite płótna malowane są — w Warszawie.

Znane jest wszystkim, bo nieustannie powtarzane, hasło estetyki szkolarskiej, która wyobraża sobie, że można sztucznie hodować talenta, na podobieństwo ananasów lub ostryg. Hasło to brzmi:

— Uczyć się, uczyć! Studyować, studyować, studyować!.

— W zakończeniu znajduje się zwykle praktyczna wskazówka, streszczająca w sobie wszystko:

— Do Monachium! Do Monachium!

Przed półwiekiem, drogowskaz był inny, a mianowicie: — Do Włoch! Do słonecznej Italii!

W jednym z najlepszych opowiadań Ereckmana i Chatriana, młody malarz, zaprzepaszczonej kędys w małym miasteczku alzackim, a obdarzony od natury talentem olbrzymim, odtwarza pomistrzowski otaczający go świat: opasłych szynkarzy, fertyczne dziewczęta, lisowatych jurystów, jowialnych piwoszów i t. p. Ktoś, obejrzawszy jego szkice, chce wyprawić go gwałtem pod włoskie niebo. — „Tam dopiero — mówi — talent twój się rozwinię; tam nauczysz się malować: niebo błękitne, morze lazurowe, poetycznych pasterzy wśród skał i śliczne pasterki pod cyprysami. W ojczyźnie Rafaela zapomnisz o trywialnym otoczeniu swej młodości i będziesz prznosił na płótno tylko piękne, poetyczne i malownicze przedmioty... Na szczęście, muzy czuwały nad swym wybranym dziecięciem. W przeddzień wyjazdu młody malarz znajduje się na widoku niesłychanie oryginalnym, które odbywa się na dziedzińcu jednej z najstarszych, typowych piwiarni w miasteczku. Jest to walka wędrownego niedźwiedzia z psami rzeźnickimi. Widowisko, samo przez się wyborne, urozmaica bar dziej jeszcze nieprzewidziany a tragiczny wypadek. Stara, nadpróżniła galeria drewniana, na której tłoczą się widzowie, pod ciężarem ich ugina się i zapada. Katastrofa ta, choć straszna, jest zarazem tak tragicznie piękną, że artysta, nie mogąc na płótnie, szkicuje całą tę scenę w pamięci, a nazajutrz prznosi ją na płótno. Jednocześnie otwierają mu się oczy, i artystycznym jasnowidzeniem odczuwa prawdę, że jego ciche, mroczne, własnym życiem żyjące miasteczko posiada stokroć więcej malarskich piękności, niż przechwalone, przemalowane i po wszystkich targowicach świata sprzedawane w podobnych — Włochy. Pozostaje więc tam, gdzie się urodził, i zamiast powiększać legion ekliwicznych portrecistów Wezuwiusza, drzew pomarańczowych i neapolitańskiego golfu, wykształca się na rdzenie swojskiego, alzackiego malarza.

Opowiadanie to radzę przeczytać zarówno naszym młodym artystom, jak i ich kierownikom, którzy na każdej recepcie artystycznej zapisują dziś: Monachium, tak właśnie jak lekarze: Karlsbad lub Marienbad.

Zboczenie to od przedmiotu nie ma bynajmniej na celu potępiania nauki systematycznej i szkoły; ostrzega tylko przed nadużywaniem studiów zagranicznych, zwłaszcza przez zbyt młode i nie sformowane jeszcze dostatecznie talenta.

Za przykładem innych pośpieszył i Chełmoński do „bawarskich Aten“. Jeżeli nie przerobił go one, jak tylu innych, na typowego „monachijczyka“, posiadającego wspólny z całym cechem sposób myślenia, uczucia, posługiwania się pędzlem, farbami, światłem, draperią i modelem, to dlatego jedynie, że był on już wówczas artystą zbyt wielkim, zbyt dojrzałym i zbyt samodzielnym.

Nie przeminął wszakże ten wpływ bez pewnego ujemnego śladu, bez przyćmienia, przemijającego, na szczęście, tak drogiej dziś w sztuce, bo

tak rzadkiej i wszędzie już prawie zamierającej, oryginalności.

Ślad ten odnajduję na obrazie p. t. „Przed deszczem“. Chełmoński jest i tu Chełmońskim, to jest wybornym odtwórcą natury; sposób jednak malowania, sztywniejszy niż zwykle i do monachijskiego szablonu zbliżony, zdradza obcą, szkolarską naleciałość. Wszystkie twarze na obrazie są piernikowe, wszystkie barwy, nie przytłumione, ale raczej zbrudzone. Nawet w typach dopatrzeć się można—niemczyzny...

Rękę mistrza poznaje się jednak w traktowaniu pejzażu, w niezrównanie doskonałej podobiznie tego ogólnego *zadeszczenia*, które czuć zarówno w atmosferze, jak w rozmięklej ziemi, w chmurach, w słomianem pokryciu dachu, w obwisłej grzywie konia i w odzieży skupionych pod dachem podróżnych.

Na szczęście dla sztuki polskiej Chełmoński niedługo „doskonił się“ w monachijskich uczelniach. Z ojczyzny pinakotek, piwa pienistego, *kunstshändlerów* i czarnej rzodkwi wyruszył niebawem do stolicy stolic: Paryża.

Paryż, gniazdo wytwornego sceptycyzmu i maskowanego pozorami żywotności przeżycia, nie przedstawia dla przybyszów niebezpieczeństwa, dzięki temu, że względem wszelkiej oryginalności zachowuje się pobłażliwie, a nawet zachęcająco. Nowe formy artystyczne, podobnie jak nowo wymyślona potrawa, działają pobudzająco na jego nerwy przytępione i zużyte. Jeżeli artyści, nie dojrzały i niedość samodzielni, przetwarzają się tam na bulwarowiczów, sam Paryż ręki do tego nie przykładają. Własnego „szyku“ ma on już powyżej uszów i owiele więcej nad ten wytwór miejscowy smakują mu nawet dziwactwa importowane. Alboż nie zachwyca się japońszczyzną i nie bije szalonych oklasków tancerkom jawańskim?

(Dokończenie nastąpi).

DRUGIE POKOLENIE

POWIEŚĆ ORYGINALNIE NAPISANA

przez

M. GAWALEWICZA.

(Dalszy ciąg).

Przyznać musiał, że ta *petite bourgeoisie*, jak ją w myślach swoich nazywał, postąpiła z nim wcale nie pomieszczańsku i prawie zawstydzila go swoją... domyślnością, uprzedzając w tak delikatny sposób zerwanie, do którego sam nie umiał znaleźć odpowiedniego środka.

Gdyby był pewnym większego oporu z jej strony, kto wie, czy nie byłby zaryzykował nawet jeszcze jednego ataku, czy nie byłby spróbował odegrać roli szlachetnego rycerza i potargować się trochę o przyjęcie tego pierścionka, przy którym los zerwał złoty łańcuch.

Namyslał się kilka chwil nad tem, co mu zostawało uczynić, aby całą tę sprawę przyzwolicie zakończyć, a właściwie zaokrąglić jedynie, i uznał za stosowne poprzestać na piśmiennej odpowiedzi.

Korrespondencja ułatwiała mu najbardziej kłopotliwą sytuacją i zastępowała smutną konieczność ostatniej osobistej rozmowy.

Usiadł do biurka i, pogwizdując wesołą aryjkę, zaczął pisać:

„Panil... z głęboką boleścią przyjąłem wiadomość o fatalnym wypadku, którego doniosłość skłania panią do zerwania związku, jaki“ etc. etc.

List był długi, w całym tego słowa znaczeniu *correct*, zakończony rezygnacją i nadzieją, że

jeżeli mu los odmówił szczęścia w posiadaniu osoby tak szlachetnego charakteru i tyłoma przymiotami ciała i duszy obdarzonej, to przynajmniej pozwoli mu zachować sympatyczne wspomnienie w jej sercu; ze swej strony zapewniał o wysokim szacunku, zarówno dla swej ex-narzeczonej, jak i o prawdziwym współczuciu dla całej rodziny nieszczęsnego przyjaciela, nad którego losem może tylko szczerze ubolewać.

Na to ostatnie pokwitowanie zerwanego małżeństwa nie żałował ani pióra, ani papieru; starał się być wymownym i zachować godność niepokieszonego serca, pamiętając o zasadzie *le style c'est l'homme*.

Liza po odczytaniu tego listu, którego zresztą nie oczekiwała wcale, uśmiechnęła się z jakąś smutną ironią i wrzuciła go do szufladki, jak nieużyteczny świstek, który nie miał już dla niej żadnej więcej wartości. Pomimo gładkich pozorów stylu nie dała się złudzić przybranym tonem szlachetności swego niedosłego męża.

Zdawało się jej, że uczuwa jakąś ulgę na sercu, jakby z niego zdjęto zaciśnięte okowy.

W kilka dni ojciec, przechodząc przez salon do swego gabinetu, zobaczył ją siedzącą z robotką w rękę przy oknie, smutną, ale jak zawsze spokojną; zatrzymał się, jakby sobie na jej widok przypominał coś, co mu wśród natłoku myśli z głowy wypadło, i spytał:

— Cóż twój baron?

Dziewczyna wstała i, nie podnosząc oczu z robotki, odrzekła cicho:

— Nic.

Fatt uderzony tonem tej krótkiej odpowiedzi, spojrział na nią przenikliwie.

— Nie był tutaj?...

Z tamsamym lakonizmem — odpowiedziała mu znowu:

— Nie.

Stary głową potrząsnął i, zabierając się do wyjścia, mruknął:

— A to piękny z niego narzeczony!

— On nie jest więcej moim narzeczonym, — rzekła powoli i obojętnie, jakby oznajmiała ojcu najpospolitszą wiadomość.

— Jakto?... zerwał z nami? — spytał nachmurzony jeszcze bardziej, zwracając głowę szybko ku córce.

— Nie on, ja zwróciłam mu przed kilku dniami pierścionek i słowo.

— Ty?...

Podszedł do niej bliżej i wpatrywał się w nią z zajęciem.

— Ty sama?... a któż ci to poradził?

— Nikt, proszę ojca; rozporządziłam się na własną odpowiedzialność.

— I dlaczego to zrobiłaś? — pytał stary bawczewo.

Dopiero teraz podniosła na niego swoje duże, niebieskie oczy i za całą odpowiedź spojrziała tylko wymownie na ojca.

Zrozumieli się w tej jednej chwili bez wszelkich wyjaśnień.

Czekała, co jej na to powie, ale stary milczał i z pod zwichrzonych brwi patrzył na córkę czas jakiś z wyrazem smutnej czułości, ale i uznania zarazem.

Wyciągnął potem rękę, pogłaskał ją po bladej twarzy i rzekł tylko na odchodnym:

— Ha, to i nie będziesz baronową.

Odedrzwiał jeszcze raz się na nią obejrzał, jak gdyby chciał powiedzieć z przyjemnym zadziwieniem:

— No, no, zkad ci się to wzięło, moje dziecko!...

Od tego czasu nie wspomniano więcej o baronie w domu Fattów.

Okazało się dopiero, jak mało rzeczywistego miejsca zajmował tam ten narzucony przez Karola nowy członek rodziny.

Nie było zresztą czasu myśleć o nim i zastanawiać się nad jego ubytkiem; myślano i mówiono tylko o najważniejszych rzeczach i to nie w obecności ojca, który się w rozmowy z nikim nie wdawał, zachowując niezmienną powagę i milczenie lekarza w ciężkim wypadku choroby, skupiającego całą myśl w jednym kierunku, na wyszukiwanie najenergiczniejszych i najskuteczniejszych środków ratunku i pomocy.

W całym domu spoglądano na tego ojca, zamyszonego, milczącego, strapionego, pochłoniętego pracą, z jakąś surową czcią i zalekaniem; nikt nie śmiał go zagadnąć, jakby się obawiał przeskodzić tej myślowej pracy, nikt nie próbował odwrócić jego uwagi; nawet dzieci penurą jego twarzą zaleknione, osowiały i nie zbliżały się do dziecka.

Wszyscy instynktownie przeczuwali, że w starcu czai się utajona burza, która nie wybuchnęła jeszcze, ale przemocą woli jest tylko przytłumiona.

Pani Wanda, jakby się czuła współniczką winy swego męża, trzymała się od ojca zdaleka, nie nachodziła mu na oczy, płakała po kątach i wyczekiwała wiadomości od Karola.

Nie było jej jednak bardzo długo; dopiero po kilku miesiącach z Hamburga jeden, a w jakiś czas potem z Frankfurtu drugi przyszedł list od niego do żony i do matki. Donosił im o sobie mało, krótko, jakby umyślnie unikał szczegółów, wspominał o jakichś wielkich projektach, z którymi się nosi, o nadziejach zrobienia świetnych interesów zagranicą, jeżeli się mu powiedzie skorzystać z nowych znajomości i stosunków — napomknął, że bardzo być może, iż będzie musiał wyjechać dalej, za Ocean, do Brazylii, do Argentyny, ale, że obszerniej napisze dopiero później, gdy się interessa jego ustala.

Natomiast bardzo szczegółowo dopytywał się o wszystko, co się po jego wyjeździe stało; żądał dokładnej relacji o wszystkich majątkowych sprawach i skutkach swego bankructwa.

„Nie obawiajcie się o mnie — pisał — ja sobie tu jeszcze poradzę; gdyby mi zabrakło pieniędzy, dam ci znać. Dotychczas jeszcze mam dość na kilka miesięcy, a dalej spodziewam się coś zrobić ze sobą. Zobaczysz, że jeżeli mi się poszczęści, powetuję wszystkie straty i zrobię poraż drugi majątek“.

Pisał to z taką pewnością, jakgdyby poraż pierwszy zrobił go także, zapominając, iż posiadał w rękę tylko owoce cudzej pracy i cudze pieniądze tak nieopatrznie zmarnowane.

Z całego tonu jego listów nie znać było żadnej skruchy i poczuwania się do winy; przeciwnie, jakieś pozowanie na ofiarę losów, jakaś gorycz zarozumialca przebijały z jego korespondencji.

W jednym tylko miejscu na wspomnienie o ojcu odezwało się w nim sumienie.

„Biedne ojczyisko — wyraził się w liście do matki — na niego musiało to moje nieszczęście spaść, jak cegła na głowę. Daję mamie słowo, że z dzieścią razy próbowałam pisać do niego, ale podarłam każdy list, bo wiem, że ojciec, ze swoimi staroświeckimi pojęciami, nie da sobie wytłomaczyć przyczyn mego krachu. To trudno: my należymy do dwóch różnych pokoleń i nie umiemy się porozumieć. Zresztą: tak, czy siak, — co to pomoże dzisiaj? — teraz już zapóźno bawić się w dyskusję“.

Stara Fattowa myślała, że sprawi mężowi radosną niespodziankę, zanosząc mu wiadomość o marnotrawnym synu, i pobiegła do niego ze łzami w oczach, ale rozpromieniona macierzyńską czułością, wołając już od progu:

— Patrz Wilhelm, list... list od naszego Karola; pisze nam, że zdrowy, — chwała Bogu — że...

Zacięła się i nie umiała dokończyć, spojrzawszy w tejsamej chwili na twarz męża; nigdy w życiu nie widziała jej tak zmienionej, tak strasznej jakąś grozą, gniewem, wściekłością i wyrazem bólu, który ją nagle wykrzywił. Złękła się, rozpełnawszy samem wymiowaniem imienia syna tę hydrę żalu i gniewu w duszy zawiedzonego ojca.

— Dość! — krzyknął niemal z furją na żonę — ja nie chcę wiedzieć o niczem. Słyszysz?... daj mi pokój. Nie mam żadnego syna, żadnego Karola, nie znam, nie chcę znać, ani wiedzieć, ani słyszeć o nim. Karol umarł!..

Wpatrzyła się w niego, przerażona, zdętwiała, nie wierząc własnym oczom i własnym uszom; pierwszy raz, odkąd go znała w przeciągu lat czterdziestu prawie, widziała go w takim uniesieniu, — drżał na całym ciele, nogi mu się trzęsły, zęby szczykały, z piersi dobywał się chrapliwy oddech rozjuszonego lwa, nie człowieka, gli-

niasta cera posiniała niemal, jak przepalona glina, a oczy ciskały błyskawice.

— Wilhelm, Wilhelm, na litość Bożką... opamiętaj się!.. coś ty powiedział! — wyjąkała, składając błagalnie ręce.

— To, co słyszysz—odeciął jej krótko, jak uderzeniem młotka.

— Przecież to nasz syn!..

— Nie mam syna.

— To nasze pierwsze dziecko ukochane...

— Dość!.. milcz i nie wspominaj mi ani słowa o nim, ani ty, ani nikt w całym domu — rozumiesz?

Drżącą pięścią uderzył o stół z jakąś brutalną passją, zapominając się poraz pierwszy w życiu wobec żony do tego stopnia.

Stara wybuchnęła płaczem i z odwagą matki, próbowała bronić syna, potępianego z taką zaciętością przez ojca:

— Cóż on winien, że go takie nieszczęście spotkało!..

— Już ja wiem, co on winien; ja wiem wszystko, ja go znam teraz—wyrodka! — przerwał jej, nie pozwalając dojść więcej do słowa.

Zerwał się i na swoich zgiętych, schorzałych nogach zaczął chodzić po pokoju, stukając łaską o podłogę, zdziczały niemal i zmieniony do niepoznania, straszny w swoim gniewie i oburzeniu, hamowanem tak długo wobec całego świata.

— Ty mi daj pokój, na Boga cię zaklinam, daj mi pokój! — mówił, dysząc, głosem urywanym i drżącym—idź sobie i zostaw mnie samego, jeśli nie chcesz, abym tu trupem padł... a mnie... mnie nie wolno jeszcze umierać.

— Jezus, Marya!.. Wilhelm, ty od zmysłów odchodzisz! — reflektowała go zalana łzami i przybita tą mową.

— Już dobrze, dobrze... tylko idź, idź, nie drażnij mnie dłużej.

Powtarzał to, pasując się z sobą samym i usiłując nadać łagodniejszy ton swemu głosowi.

— Idź, idź... i nie przychodź tu do mnie nigdy więcej z takimi wiadomościami. Ty jesteś matka... Wanda jest żona... róbcie sobie, co chcecie za moimi plecami, tylko niech ja nie o tem nie wiem, niech nie słyszę nawet jego imienia. Idź już... idź... ja potrzebuję być sam.

Popychał ją zlekka, jakby prosząc się o skrócenie wzajemnej tortury, ku drzwiom i upadł wyczerpany, zadyszany, zmęczony fizycznie i moralnie tą sceną, na swój stary fotel przed biurkiem.

Powieki mu opadły, ramiona obwisły bezwładnie, spiekłym, wysuszonym językiem w ustach obracał i z trudem połykał powietrze, które zdawało się go dławić.

Siedział tak nieruchomy, jakby w senność zapadał powoli, przestawszy się szamotać ze zmorą, która go szarpała w obecności żony.

Na twarzy miał wyraz cierpienia i bolesnego smutku; wydawał się stuletnim starcem z temi zamkniętymi oczyma i na wpeł otwartymi ustami.

Kiedy podniósł wreszcie powieki, wyglądał, jak człowiek zbudzony z ciężkiego omdlenia zbierający zmysły po powrocie do przytomności.

Przetarł czoło, dłońmi przez chwilę ścisnął sobie skronie i rzuciwszy okiem na rozłożone księgi i papiery na biurku, ożywił się, odetchnął głębiej, podjął z ziemi porzucone pióro i zabrał się na nowo do przerwanej pracy.

Znał doświadczoną skuteczność tego lekarstwa na wszystkie smutki i dolegliwości w swem życiu i ono go dotychczas nie zawodziło.

Miesiące całe upływały, a roboty i zajęcia około uprzątnięcia gruzów majątkowej ruiny przybierało raczej, niż ubywało, staremu szefowi firmy; po ostatnim obliczeniu i przeprowadzeniu układów z wierzycielami Karola, po zwinięciu przedsiębiorstwa zbyt ryzykownie przez niego rozpoczętych, po wycofaniu się z udziałów i zaspokojeniu ważniejszych pretensyj okazało się, że główny cel, do którego dążyły wszystkie usiłowania Fatta: utrzymanie fabryki, da się z wielką biedą i poświęceniem osiągnąć.

Na „Ceręgę“ spadło wprawdzie wiele jeszcze ciężarów i zobowiązań, ale przynajmniej udało

się w końcu uniknąć grożącej ewentualności zwinienia fabryki i zaprzestania robót, chociaż z koniecznym ograniczeniem niektórych działów produkcji.

Była chwila, w której interessa tak się złożyły, że pozostawało do wyboru: sprzedać wszystko i z bardzo nieznacznym kapitałem, uratowanym po likwidacyi, wycofać się zupełnie, lub przyjąć trudne warunki sytuacji i, nieopuszczając stanowiska, podjąć się dalszego prowadzenia fabryki, z dalekimi wprawdzie widokami oczyszczenia z jej dochodów resztek zmarnowanej fortuny.

I wtedy-to, na przedstawienie Grzysieckiego, który kręcił głową, sam poszkodowany w spekulacyach młodego Fatta, tracił ochotę do ratowania nawet własnych sum, stary fabrykant oświadczył mu prawie bez namysłu:

— Skoro zrobiłem tyle, spróbuję jeszcze dzwignąć resztę: zostaję przy interesie.

Mecenas swoim zwyczajem skrzywił się i rzekł:

— Wolno panu ryzykować, ale zadanie ciężkie. Fabryka teraz potrzebuje szczególniejszego dozoru, wielkiego nakładu pracy... Któż temu wszystkiemu da radę?

— Ja,—odparł krótko i stanowczo

— Czy nie byłby czas odpocząć panu na stare lata, niż po tylu przejściach wracać do pracy bardzo móżolnej i wyczerpującej?

Uśmiechnął się na te słowa ironicznie i odrzekł:

— Mój panie mecenasie, dużo mi przyszło z tego wypoczynku!.. gdybym nie był się dał przegadać doktorom i nie ruszał z miejsca, nie byłoby doszło do takiej biedy i hańby. Patrz pan: dopóki siedziałem beczynnym na emeryturze, zdawało mi się, że jestem już do niczego, kaleką, niedołęgą, że mnie na wózek toczyć będą po ulicach, jak paralytyka,—a tymczasem od chwili, gdy musiałem znów stanąć przy kowadle, jakby mi nogi odrosły. Inny człowiek ze mnie.

Grzysiecki z niedowierzaniem spojrział na złamane kolana starego.

— Pan wątpisz o tem?—poderwał, zauważywszy to sceptyczne spojrzenie adwokata. — no, do baletu nie byłoby sensu wstępować ze stawami, co puchną na każdą wilgoć, ale tu w kantorze nogi mi niepotrzebne, a w fabryce zastąpi mnie Krzysztof. Nie poznałem się na tym chłopcu,—dodał ciszej, jakby z wyrzutem, —to moja krew, choć nie moja głowa do roboty, ale jakoś sobie we dwójkę damy radę. Zostaję... zostajemy we dwóch Firmie nie wolno upadać, panie mecenasie, choćby się nawet zachwiała.

I stanęło na tem, że na swoje zgrzybiałe barki wziął sam po raz drugi tę firmę i nie dał jej runąć pomimo zachwiania.

Krzyś, posłuszny na każde skinienie, patrzył na niego z podziwem i niemal z religijną czcią wykonywał wszystkie polecenia starego, czując się — rzecz dziwna! — swobodniejszym przy boku ojca, niż przedtem, jako pomocnik brata.

Udziałała mu się jego energia do pracy i zaufanie w siebie, odważał się występować z uwagami i pomysłami, które świadczyły o praktycznym wyrobieniu młodego przemysłowca; jeśli stary był głową i mózgiem fabryki, to Krzyś był teraz jej prawą ręką.

Otrząsnął się szybko z przygnębienia, jakie na nim wywarła ucieczka Karola i groźba całkowitej ruiny majątkowej.

— Ho, ho! — mówił do Pęczińskiego, który wezwany z Burakówka wrócił na swoje dawne stanowisko — ja naszemu staremu wierzę. Jak on się do czego weźmie, to żelazo!..

Miłość synowska dla ojca potęgowała się podziwem i czcią dla pryncypała i kierownika fabryki. — byłoby mu samemu trudno rozwiązać tę kwestyę, które z tych uczuć bardziej górowało w jego sercu; między nimi wszelako mieściło się jeszcze coś trzeciego, co się nie dało wyrugować niczem i rosło nieustannie, zamiast wygasać.

Była to miłość dla Frani; miał ją znowu razem z siostrami tak blisko, mógł znowu, rzadziej wprawdzie niż dawniej, zachodzić na gwądę, na zwierzenia, na niewinne figle do Pęczińskich i odżywał w tej cichej, spokojnej, ciepłej atmosferze ich domu.

Z każdą ważniejszą wiadomością przybiegał do swojej przyjaciółki i towarzyszki lat dziecin-

nych, dzielił się z nią swemi myślami i uwagami, przychodził do niej po pochwały i rady, szukał przy niej wytchnienia po całodziennej pracy i zajęciach i czynił ją współniczką swójego życia i wrażeń.

— Wie pani, jaką ja mojemu staremu nie spodziankę przygotowuję, — mówił np. do niej z rozjaśnioną twarzą, — aniby pani zgadła, co ja robię teraz wieczorami.

— No, cóż takiego?

— Ja się na gwałt uczę pofrancuzku i po angielsku, jak prosty sztubak. Stary się za głowę weźmie, jak mu kiedy kropnę list do Claytona i Sp. bez pomocy naszego korespondenta.

Mrugał do niej przy tem z zadowoleniem i pytał:

— Cieszy się pani?

Wzruszała ramionami i z udaną obojętnością odpowiadała:

— Dlaczegoż ja się mam cieszyć?..

— Niby to!.. daj no pani pokój, ja przecież wiem, że panią to cieszy, kiedy ja co dobrego robię.

Chwytał ją w takich razach za rękę i całował serdecznie, jakby na podziękowanie za tajoną życzliwość, do której się nie chciała przyznawać.

Dziewczynie twarzyczka krasniała, oczy się śmiały i jakoś nie wrywała już swej dłoni, jak dawniej, ale przeciwnie — odpowiadała mu uściskiem mimowolnym i spojrzeniem pełnym czułości.

Razu pewnego, gdy się z nią serdeczniej jakoś rozgadał i przechylony przez stół przypatrywał, jak mu guziczek do rękawiczki zamszowej przyszywała, wybuchnął nagle ze swą zwyczajną gorącą szczerością:

— Et, wie pani, z nas przecie będzie dobrana para!..

Drgnęła tak, że się aż igłą ukłóła, ale zaparta w kropelkę krwi, która jej na palec wybiegła, nie odpowiedziała nic zrazu, dopiero po dłuższej chwili, szepnęła jakby z namysłem:

— Bóg to wie, panie Krzysztofie.

Schwycił jej rękę i zcałował z niej czerwoną perełkę, wołając z zapalem:

— Żeby pani wiedziała, jak ja panią kocham i jaki ja jestem szczęśliwy!..

Odtąd uważał się już za jej narzeczonego.

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Kraków w Maju 1890 r.

(Spóźnione).

Wczesna wiosna budzić u nas zaczyna nadzieję, że wcześniej zapewne w roku obecnym, niż w inne lata, rozpocznie się zwykle wiosenne ciągnięcie turystów z innych dzielnic ku góskim widokom, do miejsc kuracyjnych, do źródeł leczniczych, których tak wielka liczba zalega stoki tatrzańskich wyżyn i karpackie podgórze. Okoliczności nawet tak się tu składają, iż od połowy lata, prawdopodobnie, na liniach dróg żelaznych państwowych znacznie niższymi będą ceny jazdy, co ułatwi podróże do miejsc kuracyjnych; zwłaszcza, iż wszystkie prawie zdrojowiska leżą na liniach tak zwanych państwowych. Tego rodzaju ułatwienia, wprowadzone już na kolejach w Węgrzech, w roku ubiegłym, od razu podniosły znacznie liczbę podróżujących: u nas, chociaż zniesienie ceny biletów nie będzie tak znaczne, nie wątpię, iż również wzmoże się liczba tych, co wśród gór, w ciszy lasów lub w zakładach leczniczych zechcą szukać wytchnienia po całorocznej pracy, a pokrzepiać siły.

Zanim nadejdą dni sezonu kąpielowego, zanim bardziej lub mniej znani turyści do nas zawitają, mieliśmy tu możność powitania literatek z dalszych dzielnic. Pierwszą była pani M. Konopnicka, w przejeździe na dalszy Zachód, o której odczycie i zainteresowaniu się nim publiczności

RUCH MUZYCZNY.

wspominałem w ostatniej mej korespondencji. Później witaliśmy panią E. Orzeszkową, od wielu lat znaną i wysoce cenioną powieściopisarkę, której prace poczytnością wielką cieszą się nawet w okolicach, gdzie czytelnictwo mało albo wcale nie jest rozwinięte... Oznaki szczerzej sympatii, braterskiej gościnności, z którą tu spotykała się pani Eliza Orzeszkowa, są świadectwem, iż umieją i u nas oceniać każdą pracę pożyteczną i długotrwałą.

Ku końcowi Maja zapowiadają się Poznańczycy z odwiedzinami, do których mają się przyłączyć Górnio-Szlązacy. Nie wiemy jak licznymi będą te drużyny pątnicze, w każdym jednak razie miasto nasze na dni kilka nieco się ożywi, roić się będzie większą ilością nowych, nieznanych twarzy i pozyska niejedno podniosłe wrażenie. Wielkopolski i szlązki lud nie pod jednym względem przesięgnął naszego wieśniaka; pracowity on, rozsądny, oszczędny, swą samowiedzą sięga daleko poza płoty rodzimowego obejścia, poza kopce graniczne gminy i powiatu. Nieraz już widzieliśmy wieśniaka poznańskiego w charakterze turysty zwiedzającego nasze dawne zabytki; obecnie takich pątników spotkamy całą gromadką. Oprócz zabytków przeszłości naszego grodu, zwiedzić oni mają to, co jest godnym widzenia w okolicy, a tu na pierwszym planie stać będą Kopalnie Wielkie i malownicze okolice powieśla około Bielna, Tyńca, ruin Tenczyna...

Wobec zbliżającego się wakacyjnego sezonu, niezbyt cenną rzeczą wskazać dla turystów, których zmiotyć nas nigdy nie brak, boście dość ruchliwi, iż poza udeptaną ścieżką znanych już wam wyborów zakładów kuracyjnych i stacyj klimatycznych wiele jest godnych zwiedzenia, a dogodnych miejscowości dla chorych, znudzonych pracą, troską, zwłaszcza na zachodnich stokach Beskidów. Przedewszystkiem nieodrzućmy byłoby naszym turystom pamiętać, że i nad Odrą z własną mową i obyczajem spotkać się możemy, a więc o Szlązki nie tylko zawadzić, ale na Szlązku Austriackim, ponad dopływami Górnej Odry, u źródeł Wisły, niejedną noc, a przynajmniej chociaż kilka tygodni, wartoby spędzić.

Mnożące się koleje w Cieszyńskiem ułatwiły znacznie dostanie się do kącików nawet odleglejszych, do najbardziej zacisznych miejscowości ciekawego kraiku. Wskażemy tu parę: *Ustroń*, miejscowość nieodległa od Cieszyna, dość tania, do którego kolej obecnie dochodzi; *Wisła*, wieś ościenna źródłom królowej rzek naszych. Są to miejsca najwłaściwsze dla szukających w Cieszyńskiem górskiego powietrza, pięknych krajobrazów, ciszy wiejskiej i wrażeń swojskich; chociaż są i inne miejscowości, tuż pod Cieszyńskiem leżące.

Cieszyn posiada pisma własne, peryodyczne, posiada kilka instytucyj bardzo pożytecznych — młodzieżką „Macierz szkolną Księstwa Cieszyńskiego“ i dawniejsze nieco „Towarzystwo Pomocy Naukowej“ — posiada tak zwany „Dom Narodowy“, w którym mieszczą się czytelnia, biblioteka, liczna z zapobiegliwości własnej i z darów poważnych ziomków z dalekich dzielnic powstała.

...Odbiegłem poza bramy Krakowa... na niedaleką wprawdzie przetrzeń, lecz w każdym razie odbiegłem... a więc wracam... Wracam z konieczności; nie powiem, by z przyjemnością wielką; cisza pól i łąk stokroć lepiej oddychać pozwala, niż atmosfera miejska; obowiązek wszakże sprawozdawcy skierowuje myśl naszą ku miastu.

Zastrzegając więc sobie możność późniejszego kiedyś rozgadania się szerszego o Cieszyńskiej Ziemi, jej ludziach, pracach i instytucjach, przechodzimy do spraw miejscowych, krakowskich, do kwestyj miasta naszego, znanych i wielce ogadanych.

Wszystkie kwestye znane i głośnie — teatralna, wodociągowa — zawieszono między obłokiem urzeczywistnienia a ziemią pomysłów. Każda ze spraw nieco rozpoczęta, do wykonania się zbliża, ale nie z wielką szybkością, i niemniej bardzo daleko im wszystkim do końca. O rzecach tych przeto, jako w zawieszeniu będących, wolę zamilczeć do chwili, gdy urzeczywistnią się.

Jak pociągająca jest siła rzeczywistego talentu, który nie tylko uzewnętrznia się wybornymi zaletami szkoły i techniki, lecz każdej swej kreacji nadaje szlachetne indywidualne piętno, — jak porywa piękną głos umiejętnie rozwinięty a jednak wagę swą opierający głównie na prawdziwie serdecznego uczucia, dowodem najlepszym jest urok jaki wywiera obecnie goszcząca u nas panna Luiza Nikita - Nicholson, młodzianka śpiewaczka i podobno dopiero teraz stawiająca pierwsze swe kroki na scenie.

Mimo spóźnionej pory, mimo pewnych niedogodności, które Teatr Letni przedstawia, uczęszcza się na występy panny Nikita, i to bynajmniej nie w skutek przymusowych nieco obowiązków sprawozdawcy, lecz z upodobania — *con amore*. A przecie po większej części jedne i te same a dobrze już znane opery stanowią pole popisu, „Rigoletto“, „Fra Diavolo“ i „Lunaticzka“ — w których od wielu lat tyle się przed naszymi oczyma różnorodnych przesunęło postaci.

Jako dzieło żywiej nas zajmowała tylko piękna opera Gounoda: „Romeo i Julia“. Opera ta, niegdyś przez krytykę na dalszy plan odsunięta, obecnie gruntuje i bezstronniej ożeniona, stawiona jest słuszenie tuż obok nieśmiertelnego „Fausta“. Jeżeli „Romeo i Julia“ nie odrzuca podbiła sobie słuchaczy, nie dziw: od twórcy tak wspaniałej jak „Faust“ kreacji spodziewano się z pewnym absolutyzmem jeszcze coś więcej, nie bacząc, iż twórca każdy musi mieć kulminacyjny punkt natchnienia, w którym sekundują mu wszystkie przyjazne okoliczności. Dla kompozytora, głębokość i bogactwo libretta a ztąd źródło całkiem nowych pomysłów, niemają dźwignię stanowi. Myśl poety, za którą się podąża z upodobaniem, podchwycenie głównej idei a zarazem odczucie subtelne ducha każdej postaci działającej i możność towarzyszenia akcji jednolitej, konsekwentnej: oto są struny na których może dopiero grać cały szereg natchnień prawdziwych. Dla tego-to kompozytorowie dzisiejszej szkoły taką wartość przywiązują do libretta i trudni są w jego wyborze. Nieraz jużśmy tę uwagę wypowiadali. Przyznać zaś trzeba, iż jak „Faust“ góruje treścią nad całym stosem sztucznie urabianych pod muzykę dramatów, tak też i pierwsze miejsce zajmuje wśród operowych partytur. Kto jednak pójdzie słuchać „Romeo i Julii“ nie powtarzając sobie z góry, iż ponad „Fausta“ nie stworzył Gounod nic piękniejszego, kto nie będzie z pedantycznym uporem wyszukiwał w nowej operze reminiscencyj poprzedniej, tego niezawodnie ogarną wrażenia znów świeże i porywające, ten przyzna, że twórca „Fausta“ podniósł się niemniej wysoko do wdzięcznych kreacyj szekspirowskich, odczuł je wybornie a indywidualność swą zaakcentował o tyle tylko, o ile każdy kompozytor wybitny jej piętno zaznacza, nie mogąc nigdy i nigdzie przestać być sobą. Śliczna, młodociana postać Julii, jest, jeśli można użyć takiego porównania, rzeźbą zupełnie odmiennych zarysów, aniżeli Małgorzata, dużo mistrza poznaje się wszelako. W całej zaś operze, jeżeli niema, jak w „Faustie“, mocno charakterystycznych i łatwo wpadających w ucho melodyj, zato liryka i dramat spływają się ze sobą w całość więcej symfoniczną, jak spływają się ze sobą i jednocześnie w jednym duchu i celu uczucia głównych bohaterów Szekspira. Co do technicznej faktury dzieła, już sama owa symfoniczność stawia kompozytora w odrębnym całkiem i nowym świetle. Jednakże na rozbiór dzieła nie wystarczy jednorazowe jego słyszenie, dajemy też tylko raczej summe pierwszych wrażeń aniżeli dokładną ocenę.

Do wrażeń dodatnich przyczyniła się bez kwestyi doskonała interpretacja. Panna Nikita, jak głoszą wieści, pod kierunkiem samego mistrza studiującą partyę Julii, była rzeczywistym wcieleniem tej kreacji niepokalanej, dziewiczej, zło-

żonej z najtkliwszych pierwiastków miłości. Uczuciowym też był każdy dźwięk ślicznego jej głosu, każda nuta z pod serca była dobytą. Oprócz tego panna Nikita posiada wrodzoną intuicyę w pojęciu roli pod względem akcji, tak, iż akcja ta wraz ze śpiewem tworzy całość pełną porywającącej prawdy. Uroczę złudzenie musiało się udzielić i panu Myszdze, który jako Romeo przejął się serdecznie swoją rolą, śpiewał i grał przewybornie, starając się nie ustępować swej znakomitej towarzysze.

Orkiestra, która w „Romeo i Julii“ domaga się szczególniejszej uwagi i posłuchu, artystycznie wystudowała swą trudną partyę.

W drugi dzień Zielonych Świątek Teatr Wielki żegnał swą publiczność południowem przedstawieniem, na które złożyły się niemal wszystkie działy sztuki przez długi szereg lat w tym przybytku uprawiane.

Mieliśmy tedy „Prolog“ i pierwszą odsłonę 2-go aktu z op. „Mefistofeles“ H. Boito, czwarty akt „Hugonotów“ komedya „Pocałunek“ T. de Banville, występ solowy panny Luizy Nikita oraz *Divertissement* z baletu p. t. „Miłość i Sztuka“. Mogł każdy odnaleźć to co lubi a bytnością swą (z jednostek tworzą się tłumy) okazać nieco sympatii dla tej sceny, która, ile może, dostarcza dobrych i szlachetnych rozrywek. Tymczasem, zbiegiem niewytłómaczonych okoliczności, bardzo nieliczną garstką stawiała się owa publiczność, dla której obecnie Teatr swe mury rozszerza.

Wracając *ad rem*, to jest do interesującej nas specjalnie muzyki, radzibyśmy udzielić szanownym czytelnikom, miłych wrażeń, jakie wywołał solowy śpiew panny Nikita, która lekko i swobodnie uwydatniając ślicznie wyrobioną koloraturę, dała nam usłyszeć arya i rondo z „Lunaticzki“, oraz nad program Mazurka Szopena.

Im więcej się poznaje tę śpiewaczkę, tem bardziej zadziwia zasób jej sił artystycznych, ten skarb duchowych i technicznych zdobyczy, jaki już obecnie posiada. I tak, po przedstawieniu „Romeo i Julii“ gotowi byliśmy wykrzyknąć, że rola tam jakby dla niej stworzona, tymczasem dalsze przedstawienia wykazują, iż panna Nikita umie każdą swą bohaterkę nacechować właściwą charakterystyką, umie przeistoczyć się w każdą postać, którą się podejmuje odtworzyć. Zerlina, we „Fra Diavolo“, wiejskie, prostoduszne wesole dziewczę, była usobieniem naturalności i wdzięku; żaden nietrafny akcent, żadna niewłaściwość nie zmąciła obrazu tak odmiennego od poprzednich a tak skończonego, jakgdyby artystka z natury jego szczegółów wystudowała. Entuzjazm też prawdziwy towarzyszył jej występowi od początku do końca.

Jako śpiewaczka, panna Nikita jest w tym szczęśliwym okresie, w którym traktuje się sztukę z idealnym, młodzieńczym zapałem, nie pokładając wagi na ogólnym pięknym effekte, i nie oszczędzając się przez cały ciąg opery, dla tem jaskrawszego uwydatnienia pewnych danych momentów. Śpiewa ona wszystko, z jednaką starannością i opracowaniem, lubuje się nawet szczegółami, lecz całości nie traci z myśli i serca. Zastanowiliśmy się dłużej nad tą cechą artyzmu panny Nikita, albowiem najznakomitszym niemal śpiewakom zdarza się wpaść w błąd gonienia za jednochwilmnymi efektami, w skutek owej żyłki do popisu, przez którą poświęca się nieraz całą operę dla pojedynczej arii, dla tego, co Francuzi dowcipnie nazwali: *cheval de bataille*.

W przedstawieniu „Fra Diavola“ pan Myszuga miał mniej werwy i dobrego usposobienia, niż kiedykolwiek. Rolę Pamelii oddała trafnie pani Lewicka, unikając przesady i szarży; pan Dyliński zaś, który jako rozbójnik, objął rolę po panu Seidemanie, wywiązał się z niej wcale dobrze.

Gdy nam przychodzi mówić o „Lunaticzce“, to, zaiste, czujemy się w kłopotcie, bo przy dzisiejszych upodobaniach i wykształceniu muzycznym dziwić się tylko wypada cierpliwości, z jaką do końca wysłuchało się tych komunalów, treści i formy, nie przedstawiających żadnego artystycznego interessu.

Na domiar, orkiestra, pod batutą pana Dumont'a, zdawała się usypiać, niedbałym i prze-

wlekłym akkompaniamentem co chwila mrocząc i tak niezbyt promienną całość. Urok takiej śpiewaczki jak panna Luiza Nikita, musiał starczyć za wszystko. I rzeczywiście starczył. Każde jej ukazanie się na scenie cucilo uwagę, orzeźwiało znudzonych zkadąd słuchaczy. W operze tej, panna Nikita rozwinęła przed nami wysokie swe uzdolnienie do aryj koloraturowych i stopień doskonałości, do jakiego doszła w tym kierunku.

Ocenivszy już poprzednio inne piękne zalety tej artystki, zakończmy chyba podzięką, iż dała nam się poznać w jutrzence swej sławy, nie zaś w ostatnich promykach jej zachodu, jak to czynią zbyt często niektóre zagraniczne gwiazdy.

Juliusz Stattler.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż w Maju 1890 r.

Jak się odbył w Paryżu dzień 1-y Maja?—Następstwa.—Wymysły.—Potrójna ósemka.—Wybory w Akademii Francuskiej.—Odroczenie — Dramat w hotelu przy ulicy des Mathurins.—Co jest wymysłem, a co prawdą w tej zbrodni?—Doroczna wystawa Sztuk Pięknych.—Pola Elizejskie i Pole Marsowe.—Artyści polscy na wystawie w pałacu Przemysłowym na Polach Elizejskich.—Francuzi i artyści innych krajów—Najświetniejsze obrazy.—Munkaczy i jego sufit do Muzeum Historii Sztuk Pięknych w Wiedniu.—Bibliografia: kobiety piszące we Francji (dokończenie).

Na koniec końców minął ten dzień 1-y Maja, o którym, jak o skończeniu świata, tyle mówiono i pisano od miesiąca, i powiedzmy zaraz, przeszedł on lepiej i spokojniej, niżeli się spodziewano.

Jednakże nie trzeba sądzić, że dzień 1-y Maja nie miał żadnej wagi; miał on ją, przeciwnie, i bardzo poważną: pokazał jasno, że stronnictwo socjalistyczne ma swoją międzynarodową, powszechną organizację. I to, na cośmy patrzyli wczoraj, może jest tylko *powszechną próbą* dramatu, który się odegra dziś, jutro, na całym świecie, i nie będzie zbyt wesołym dla nikogo. Potrzeba, aby nie zapomniano o tem!

Tutaj 1-y Maja przeszedł gładko, dzięki naprzód przedsięwziętym środkom bezpieczeństwa. Łatwo zrozumieć to powodzenie, kiedy się wie, że ludzie stojący dziś u steru administracji i rządu sami przeszli przez ten pytel socjalny, i że świadomi praktyk i sposobów, jak się tworzy i przeprowadza przewrót na bruku paryżkim—zaradzili temu zawczasu, sprzątnąwszy bez ceremonii główne czynniki, to jest wsadziwszy do kozy tych, w których ręku były sznurki poruszające wszystkie sprężyny. W braku głównych przewodźców szeregownicy zostali jakby zawieszni w powietrzu, bez rozkazu, bez parolu— a więc w bezwładnym rozprężeniu. Dawniej nazwanoby to zamachem stanu, tyranją; dziś się to zowie środkiem bezpieczeństwa, bardzo zręcznie i sprytnie skombinowanym.

Tymczasem trzeba przyznać, że widok potężnych szwadronów Gwardii Republikańskiej, na dzielnych koniach, szwadronów dobrze uzbrojonych, gotowych do boju, i niewdających się, jak to bywało często, w przyjacielską rozmowę z publicznością—przyczynił się wielce do utrzymania manifestacji ulicznej w granicach rozsądnego porządku.

Cóżby się stało, gdyby tej manifestacji ulicznej zostawiono swobodę, dano rozwinąć wszystkie swe sztandary? Czyż można dozwolnić, aby burzliwa mniejszość przyswajała sobie prawo wstrzymania ruchu wielkiego miasta i poddania swemu widzi mi się spokojności i interesów większości? Nie są to moje osobiste poglądy i rozumowania. Przypatrzmy tu jedynie to, co się odezwało we wszystkich organach prasy, konserwatywnej i niekon-

serwatywnej—ale umiarkowanie republikańskiej, bo to jest najlepsze i najsprawiedliwsze zdanie sprawy z tego, co się tu dzieje.

Prawo tutejsze przyznaje każdemu robotnikowi, wziętemu odrębnie, prawo świątkowania; przypuszcza nawet tak zwane *grèves*, (bezrobocia). Ale tożsamo prawo staje zaraz w obronie tych, którzy chcą pracować—przeciw tym, którzy wołają nie nie robić, i którzy chcą się posługiwać, choćby równie niewinnymi manifestacjami, jak owe z 1-o Maja przeciw zajętemu pracą...

Wymyślono dziś kombinacją, tak zwaną: *potrójnej ósemki*—ośm godzin pracy, ośm godzin spoczynku i ośm snu—ma to być *specificum probatum* na wszystkie niemoce społeczności, ostatnie słowo mądrości. Ale najpoważniejsi ludzie, najwięksi przyjaciele ludu—uważają to jako błąd dziecinny i jako największą ruinę ekonomicznych stosunków.

Jak można zresztą wynaleźć sposób przeszkodzenia pracodawcom i robotnikom przekroczenia granic tego określenia samowolnego—wolnej pracy? Potrzeboby na to użyć całego ludu sędziów i dozorców.

Dodajmy, że ci, co są najgłębiej przeświadczeni o potrzebie i dogodności ośmiogodzinnej pracy, zgodzą się chętnie pracować dwie godziny więcej za dodatkowym i godziwym wynagrodzeniem.

W gruncie jedno jest pragnienie u wszystkich: mniej pracować a zarobić więcej, ale zanim się mu zadość stanie, skończyć się może na tem, że całutki przemysł francuski będzie zruinowany, a sami robotnicy całymi gromadami tracić będą jedyny sposób do życia.

Taki jest w treści wynik manifestacji 1-o Maja i wszystkich dotąd kongressów, komisji i syndykatów. Chaos i nieporozumienie na całej linii. Każdy wie, że się coś niedobrego warzy, każdy czuje, że choroba wzmaga się coraz, ale środka zbawienia nikt jeszcze nie znalazł. Jesteśmy dziś wobec prawdziwego sfinxa, a tego, który rozwiąże zagadkę nie widział jeszcze ani cienia na horyzoncie ludzkim.

Opowiadają o tych dzikich ludziach, którzy zrabali drzewo, aby wygodniej i łatwiej spożyć jego owoce. Otóż nasi, nawpół wykształceni i ucivilizowani, ludzie czynią to samo.

Pomimo groźnych przepowiedni d. 1-go Maja z Akademii Francuskiej odbyło się zwykle jej co tygodniowe posiedzenie. Było one oczekiwane z pewną niecierpliwością z powodu wyborów członka, na miejsce zmarłego Augier'a—o czem wspominałem w ostatnim liście.

Widzę, że moje informacje były dokładne; kwestya wyboru stanęła na dwóch osobistościach, które wymieniłem w owym liście, i po siedmiu powrotach do puszek Akademii, widząc upieranie się głosujących przy kandydatach, których sobie obrali, a ztąd powtarzające się za każdym głosowaniem rozstrzelanie głosów i brak większości za jednym z 13 kandydatów—odroczyła wybory bez określenia ścisłego terminu na odbycie nowych.

Głosujących było 37-u. Na otrzymanie większości absolutnej potrzeba było 20-u głosów. Tureau-Dangin i Lavissee, otrzymali każdy, najwięcej 10 głosów, reszta rozpadła się pomiędzy kandydatów mających po 2 lub 3 głosy—w tej kategorii był i Zola.

Widzę ze wzmianki w *Bluszczu* w N 20 (z bieżącej chwili), że u was myślano, iż było siedm posiedzeń Akademii dla odbycia tych siedmiu głosowań, i że Juliusz Barbier cofnął się po pierwszej próbie. Sprostujmy tę pomyłkę.

Tych siedm głosowań odbyło się na jednym i temsamem posiedzeniu. Głosują zwykle kartkami z nazwiskiem kandydatów a biuro oblicza głosy: żaden więc z kandydatów nie może się cofnąć przed ostatecznym ukończeniem się głosowania, bo żaden z kandydatów nie jest obecnym na posiedzeniu. P. Barbier otrzymał jeden za pierwszym głosowaniem, a jego wyborca, widząc, że sam jest tylko, w drugiej kolei oddał głos swój komu innemu.

Przyszłe głosowanie—jak mówiłem—odroczone, nie oznaczając na powtórzenie wyborów terminu: mogą więc one odbyć się tak dobrze na naj-

pierwszej sessji akademii, jak za dwa lub 3 miesiące.

Dodatkowe wybory do Rady Miejskiej odbyły się w Paryżu d. 4 Maja. Jak wam wskazałem w ostatnim liście, i jak można było łatwo przewidzieć, skład Rady Miejskiej nie uległ wcale radykalnej zmianie. Większa część ławników wróciła na dawne swe ławy, tylko sami Bualanzyści zostali pobici na głowę.

Niema co obwiać w bawełnę: Bualanzyści po wyborach d. 4 Maja stracili nawet prawo do nazwy odrębnego stronnictwa. Zresztą, idąc za głosem powszechnym, usuwają się dziś z widowni politycznej. Komitet wyborczy się rozwiązał i generał Boulanger umyślnym listem to rozwiązanie potwierdził.

Wobec mnożących się ustawicznie liczby zbrodniczych zamachów i spraw kryminalnych, kronikarz nasz musi się trzymać zdaleka od trybunałów, aby krwią i brudem nieprzesycić każdodzienną rubryki: najczęściej więc przechodzę w milczeniu obok czynów przerażających swoją wyrażoną potwornością.

Dziś wszakże zmuszony jestem zatrzymać się przy jednym z tych kryminalnych zbroczeń zpowodu jakoby polskich nazwisk wmieszanych do tej krwawej tragedii, która tu nosi nazwisko *Dramatu z ulicy des Mathurins*. W hotelu New-Yorckim najął mieszkanie niejaki Bleszczyński, przybyły z Hawru d. 22 Maja. Ten Bleszczyński, jak się okazuje, był oddawna przyjacielem niejakiego Wittorskiego i zarazem przyjacielem jego żony, Francuzki rodem, wówczas jeszcze, kiedy ona była panną. Wittorscy mieli troje dzieci i żyli w zgodzie i pokoju, pomimo tych stosunków Bleszczyńskiego z p. Wittorską. Mąż Wittorski służył u jakiegoś bankiera, żona była modystką.

Nazajutrz po przybyciu Bleszczyńskiego do Paryża służący hotelowy, chcąc uprzątnąć w pokoju, zastał drzwi zamknięte od wewnątrz; wezwał tedy gospodynią hotelu i w jej obecności drzwi wyważono. Oczom obecnych przedstawiał się widok przerażający. Pani Janina Wittorska leżała na podłodze, martwa, brocząc w krwi. Wezwano natychmiast kommissarza policji, odszukano też niebawem Bleszczyńskiego, który zeznał, że Wittorska żądała od niego pieniędzy, których on nie mógł jej dać, i że wówczas, ta nieszczęśliwa sama sobie z rewolweru odebrała życie; on zaś, Bleszczyński, przerażony, próbował się zabić, a gdy się mu próba nie powiodła, opuścił hotel, chcąc się oddać w ręce policji.

Wittorski, zawiadomiony, przyjął tę wiadomość dość zimno; zaprzeczył tylko, żeby żona jego mogła żądać pieniędzy od Bleszczyńskiego, gdyż z żądaniem takim występować nie miała potrzeby.

Sprawa stanęła na tem, że ów Bleszczyński, utrzymuje zawsze, iż kobieta sama sobie odebrała życie, a Wittorski wciąż, dość obojętną odgrywa rolę. Co do osobistości tych panów, nikt ich tu nie znał z kolonii, polskiej, a nawet o ich nazwiskach nie słyszał. Jest w tem jakaś tajemnica, którą czas rozwiąże, tembardziej, że ów Bleszczyński ma to być dawniejszy officer jakiś. Podośnienie w zakończeniach nazwisk mogło skłonić dziennikarzy do podania noszących je ludzi za Polaków. Z początku nawet pisano „Wolski“, a później już „Wittorski“.

Zamiast jednej wystawy corocznej Sztuk pięknych mamy dwie w tym roku. W przeszłych moich listach zdałem już sprawę z tej schyzmy artystycznej, wskazałem jej powody i, ile mi się zdawało, pokazałem skutki. Dziś, kiedy to dzieło rozdwojenia jest spełnione, mimowoli przycho-dzą mi na myśl słowa Ewangelii Ś-go Marka (IV 24) „Jeżeli królestwo jakie podzielone jest przeciwko sobie, królestwo to ostać się nie może“. Ale zostawmy to przyszłości, a patrzmy, co nam przyniosły te dwie wystawy.

Zwykła, goszcząca w Pałacu Pól Elizejskich, otwartą została, jak dawniej, d. 1 Maja; nowa przesłała do pałacu Sztuk Pięknych na Polu Marsowym. Pałac ten, jest to jeden z trzech gmachów pozostałych po wielkiej wystawie z roku zeszłego. Tę drugą wystawę otwarto d. 15 Maja

a więc, trzymając się starszeństwa, zacznijmy dziś od owej tradycyjnej z Pól Elizejskich.

W krótkiej notatce umieszczonej w numerze 20 *Bluszcz* podał rachunek liczby wystawionych dzieł sztuki wszelkiego rodzaju. Rachunek ten jest dokładny, nie mam więc potrzeby doń wracać i czytelników moich odsyłać do owej wzmianki, a sam przechodzę naprzód do wyliczenia i oceny imion i dzieł polskich artystów. Malarstwo zamyka w sobie największą liczbę; od niego więc zaczynam spis alfabetyczny naszych malarzy, których dzieła znajdują się na tej wystawie w Pałacu Przemysłowym.

Panna Anna Bilińska—Portret mężczyzny;— Ciesielski Władysław—Portret ojca artysty; pani Dukszynska Emilia—Portret małej dziewczynki. Kossak Wojciech (syn)—Wzięcie do niewoli generała hr. Tadeusza Tyszkiewicza i Portret małego synka księcia Dominika Radziwiłła. Kowalski Franciszek — Studium i portret pani K... Krobański Gustaw—Krowy hollenderskie. Mencina-Krzesz Józef—Portret pani J. M. K. i Przy studni z piosnki ukraińskiej. Przepiórski Lucyan—Portret Leona Roberta Przepiórskiego—i sala tak zwana *des Eats* w Luwrze. Reyzner Mieczysław—Portret artysty.

W wydziale rzeźby mamy następujące nazwiska i utwory: Pani Andriolli z Tarnowskich — dwa popiersia gipsowe Bernstein—popiersie gipsowe p. Buin'a, popiersie gipsowe — Bogdański Stefan — popiersie gipsowe. Boryczewski Klemens, — medalion gipsowy Lady L... Marcinkowski, — grupa gipsowa dziecię z kogutem, i medalion marmurowy Paderewskiego — pani Okołowiczowa, Marya Carré — figurka z gipsu (dziewczyną przypatrującą się ptasiemu gniazdeczku które trzyma na dłoni). Rygiel Teodor — Tanczniczka, (figurka bronzowa). Wierzbicki Wincenty, — trzy Medaliony z gipsu. Panna Wisłocka Aniela, — popiersie z gipsu pani Janiny Jeannet. Zawiski Józef—popiersie z gipsu.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— **Międzynarodowa wystawa** więzienna w Petersburgu podzielona jest na trzy grupy: wyroby przestępców w więzieniach ogólnych, wyroby przestępców małoletnich oddziału poprawczego, wyroby przestępców więzień celkowych. Wszystkich okazów jest 10.000. Niemcy wystawiły wyroby ze skóry, trzewiki drewniane, cygara i wzory różnych wyrobów, Austria—rzeźby w drzewie, Węgry—wyroby z żelaza i okazy pracy małoletnich przestępców, Belgia—wyroby z drzewa i wzory kajdan, Francja—160 rodzajów różnych wyrobów, Grecja—model więzienia ruchomego, Dania—wyroby gospodarskie, Norwegia—wyroby plecione z kory drzewnej, Szwecja—wyroby stolarskie, Szwajcarya—bieliznę, Japonia—wyroby z drzewa lakowego, Rosya podzieliła wystawę swoją na dziesięć oddziałów: tkacki, powroźniczy, plecienia ze słomy, tokarski, stolarski, ślusarski, mechaniczny, wyrobów z papieru, pracy kobiet, budowy więziennej, oddział syberyjski i sachaliński. W dziale syberyjskim mieszczą się modele statków więziennych, do przewozu aresztantów, okazy eksploatacji kopalni w postaci złota i srebra, dalej model kopalni,

w której pracują więźniowie skazani na ciężkie roboty, a model ten ukazuje i manekiny przedstawiające więźniów. Oddział wyspy Sachalin przedstawia dział etnograficzny, działy flory i fauny sachalińskiej.

— **Na konkursie** nagród Piotra Wielkiego w Petersburgu przyznano wielką nagrodę 2.000 rs. W. Musseliusowi za słownik rosyjsko-łaciński, małą nagrodę 500 rs. prof. Millerowi za wydanie poezji Horacyusza.

— **W Żytomierzu** zawiązało się Towarzystwo wzajemnej pomocy z celem wspomagania rodzin osieroconych przez śmierć osoby, której praca stanowiła utrzymanie rodziny. Towarzystwo dzieli się na trzy kategorie: płacących składki miesięcznej pół rubla, rubla, trzy ruble. Członek towarzystwa, skończywszy lat siemdziesiąt, a w razie wcześniejszej jego śmierci pozostała rodzina, otrzymuje wedle stopnia składki 100, 200; 600 rs. Kto należy do wszystkich trzech kategorii i płaci półpięta rubla, otrzymuje, czy on, czy rodzina jego, 900 rs.

— **Stała wystawa** prób i wzorów w Muzeum Przemysłowym zapełnia się coraz obficiej okazami produkcji na wywóz. Dyrektor wystawy, p. Zaleski, objeżdża miasta fabryczne: Łódź, Częstochowę, Sosnowice, w celu zachęcenia wystawców. Pięć fabryk częstochowskich zapisało się na listę.

— **Członek bezpłatnej czytelnicy** w Radomiu, p. B. Okoński, rzemieślnik, wniósł projekt takiego zabezpieczenia czytelnicy, aby los jej nie zależał od przygodnej ofiarności ludzi dobrej woli. W tym celu złożył 100 rs. jako bezprocentową pożyczkę na lat ośm. Pięćdziesiąt podobnych udziałów wytworzyłoby summe 5.000—rs. fundusz dostateczny na zbudowanie własnego domu dla Czytelnicy, umieszczonej w jednej jego połowie, gdy dochód z wydzierżawionego lokalu drugiej połowy, składany na umorzenie pożyczki, wzrósłby w przeciągu lat ośmiu do summy potrzebnej na spłatę długu. Czy poczytliwe, obywatelskie te chęci znajdują naśladowców?

— **Czeski dramaturg**, Franciszek Duchek, napisał historyczny, silnych efektów dramat z czasów trzydziestoletniej wojny, pod tytułem: Błażej Grisbek. Przełożony na język polski za zezwoleniem autora, dramat ten będzie wkrótce wystawiony w Krakowie.

— **Kompozytor Żeleński**, twórca opery *Konrad Wall nrod*, napisał marsz żałobny, będący zdaniem znawców, dziełem wyższego natchnienia i niepospolitej wartości artystycznej. Melodyjność jego jest bardzo szlachetna.

— **Rzeźbiarz nasz**, przebywający w Rzymie, gdzie używa sławy wyższego w sztuce swojej talentu, Wiktor Brodzki, wynalazł sposób kierowania balonami, nad czem pracował wytrwale lat 40. Wynalazek swój przedstawił rządowi włoskiemu.

— **Znakomity obraz** francuzkiego malarza, Meissonnier'a „rok 1814“, stanowiący ozdobę tegorocznej wystawy sztuki w Paryżu, znalazł nabywcę, który dał za to dzieło 850.000 fran. Jest to właściciel magazynów Luwru, nazwiskiem Chauchard.

— **W Szwajcaryi**, w mieście Yverdun wzniesiono pomnik znakomitemu pedagogowi Pestalozzi'emu. Uroczyste odkrycie pomnika nastąpi d. 5 Lipca. Jest on z jednej sztuki olbrzymiego kawała białego marmuru i przedstawia grupę trzech postaci: Pestalozzi i dwoje dzieci: chłopiec i dziewczynka. Ręka nauczyciela, coś mówiącego chłopcu, spoczywa na jego ramieniu, łagodnie przyciągając go ku sobie. Dziewczynka słucha z wielką uwagą i oczętańku mistrzowi pod-

nosi. U podnóża podpis: „Henri Pestalozzi 1746—1827. — Monument érigé par souscription populaire en l'an MDCCCXC“.

— **Powszechna wystawa** przemysłu w Edinburgu, otwarta d. 1 Maja na gruncie przedmieścia Merchiston, zajmuje 90 morgów rozległości. Obok wystawy przemysłu angielskiego znajduje się tam licznie przedstawiony przemysł wszystkich krajów Europy, nawet Turcyi. Wziął też w wystawie udział Egipt. Halla maszyn ma powierzchnię 105.000 stóp kwadratowych; szczególnie zajmującym jest oddział przedstawiający kolejno postępy uczynione od pierwszego wynalazku Stephensona. Znajduje się tu kolej żelazna elektryczna *Chemin de fer glissant* z wystawy paryzkiej. Tłum zwiedzających osób cisnie się nieustannie dla oglądania panoramy bitwy morskiej pod Trafalgar, malowanej przez monachijskiego artystę, Filipa Fleischera. Podobnie zajmuje publiczność zwiedzającą wioska japońska, wenecka fabryka szkła, szwajcarski domek z ogródkiem i podwórzem, obozowisko cygańskie.

— **Stała wystawa** rolnicza i leśnicza w Wiedniu liczy 1.700 wystawców, jakkolwiek wystawy zbiorowe przedstawiają setki wystawców na jednej karcie, jak to ma miejsce przy wystawie win z dolnej Austrii, przy wystawie z Tyrolu, fabryk cukru. Nie zaliczają się też tutaj wystawcy bardzo bogatej wystawy węgierskiej, wystawcy francuzcy, włoscy, wystawcy ze Szwecyi i Norwegii.

Sprostowanie.

W Nr. 24 „Bluszczu“ w artykule p. t. „Kronika działalności kobiecej“ w artykule o „Malarzni“ p. Izabeli Miniewskiej zamiast wyrażenia błędnego, że odbywały się tam lekcye zbiorowe, powinno być: Od 1-go Września r. b. zaprowadzone będą lekcye zbiorowe.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 3-ci Tom II powieści pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. Przekład L. M.

TREŚĆ: Oskar Kolberg, przez M. I. — Gospodarcze kształcenie kobiety, przez M. I.—Józef Chełmoński. (Profil krytyczny). — Drugie pokolenie. Powieść oryginalnie napisana, przez M. Gawalewicz. — Korrespondencya Zagraniczna (Krakowska). — Ruch muzyczny przez Juliusza Stattlera. — Nowiny Paryzkie. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 3 ci powieści, pod tytułem: **Szych**, przez Stefanią Wohl. — Przegląd mód. — 40 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycya stołu.**

Stółek ogrodowy lub balkonowy.

Rycina Nr 3 i 4 w Bl. Nr 23.

Stółek z nóżkami bambusowymi, z okuciem niklowym, z blatem politurowanym 28 cent. wielkości. Wysokość 43 cent. Haft wykonany podług ryc. Nr 4 i otoczenie wykonane szydełkiem. Haft wykonać na materiale lnianym koloru szarego bawełną kolorową do prania. Szlak wykonać szydełkiem podług ryc. Nr 32 w Bl. Nr 19 i zakończyć kwastami lub grelotkami z bawełny szarej i ponsowej.

Kaftanik dla panienki od 2—3 lat. Robota szydełkowa.

Rycina Nr 20 i 21 a Nr 8 w Bl. Nr 24. (Krój pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 37—42).

Kaftanik wykonany szydełkiem włóczką gobelinową koloru białego ściąganiem podług ryc. Nr 8 w Bl. Nr 24. Skrajać z muslinu fig. 37 i 38 i połączyć od 70 do 71. Rozpocząć od lewego przedniego brzegu na założeniu odpowiedniej ilości oczek i jak następuje wykonywać ciągle tam i napowrót. — 1 kolej:

oczko opuścić, potem ciągle 1 ściś. o. w każde o. — 2 kolej: prawa strona roboty: 4 pow. ocz., 3 o. zebrać z 3 do 1 z tychże, i 2 o. z następ. 2 ści. o. poprzedniej kolei. Zebrane na szydełku przerobić 1 o., * 5 o. zebrać a mianowicie: 1) z żyłki znajdującej się powyżej przerobionego, 2) z przedniej żyłki zebranego 5 o., 3) z o. w którym przedtem oznaczone o. zebrano a 2 ostatnie z następ. 2 o. poprzedniej kolei. Zebrane na szydełku 1 o. przerob. od * powtórzyć. Ta kolej i następna przedstawia rzędy dodatkowe, z tego powodu nie należy podług podanej miary wykonywać aż do końca, lecz robotę odwrócić i w 3 kolej. ciągle 1 ści. o. wykonywać. Powtarzać ciągle desen 2 i 3 kolej, przybierając lub ujmując o. odpowiednio do formy z muslinu i wykonać rzędy dodatkowe. Dla utworzenia paszek oraz rozporka, pozostawić należy pewną ilość oczek nietkniętych, a w następ. kolej. założyć takowe nanowo. Po dojściu do tylnego środka, należy wykonać drugą połowę w kierunku odwrotnym. Połączyć na ramionach od 72 do 73 i wykonać na wycięciu szyi 2 koleje jak 2 pierwsze kaftanika. Następnie rząd zębów w sposób następujący: 1 kolej: 1 pow. o.,

potem ciągle 1 pół słup. w każdy rząd ocz., na zakończenie u wycięcia szyi ciągle 1 ści. ocz. — 2 kolej: 1 o. zebrać z żyłki o. znajdującego się po odwr. str. poprzedniej kolei. * 3 pow. o., 2 o. zebrać z 2 i 1 z tychże; 1 o. z tegoż o., z którego zebrano przed 3 pow. o., 2 o. z poziomej żyłki znajdującego się na odwr. str. następ. 2 pół sł. Zebrane na szydełku 1 o. przerob., od * powtórzyć. — 3 kolej: 1 ściś. o. w następ. o. poprzed. kolei *, 3 pow. o., 2 o. z 2 i 1 z tychże zebrać, 1 o. w poprzecz. żyłkę o., w którym przerob. oczka zbiorowe, 1 ocz. z żył. następ. wzoru, zebrane na szydeł. 1 o. przerob., od * powtórzyć, ale ciągle 3 o. zbierać z żyłki, w której ost. o. ostatniego wzoru zebrano. W ostatniej kolej. wykonać kołnierz podług fig. 40 i otoczyć rzędem ząbków. Następnie wykonać rękawy podług fig. 41, rozpoczynając od szwu na założeniu odpowiedniej ilości ocz., przybierając i gubiąc stosownie do formy. Połączyć rękawy od 74 do 75 wszyć w kaftanik i wykonać kłapkę podług fig. 42. Kłapki na kieszenie podług fig. 39 również otoczyć rzędem ząbków i przyszyć podług wskazówek.

Spódniczka dla dziecka od 1—2 lat.

Rycina Nr 5 w Bl. Nr 24. (Krój odwr. str. tabl. XV, fig. 77—79).

Spódniczka z białego szyrtingu. Skrajać fig. 77 — 79, zeszyć plecy i przednią część, brzeg rękawków obszyć paskiem haftowanym 1½ cent. szer. oraz ozdobić ściąganiem rybiej łuszczyki wykonanym białą bawełną — wszyć w stanik. Wycięcie szyi otoczyć w podobny sposób, oraz wykonać przewleczenie tasiemką. Dolny brzeg staniczka obrabić, przewlec tasiemką, zaopatrzyć w dziurki i guziki i przyszyć spódniczkę 36 cent. długą a 138 c. szer. otoczoną obrąbkami i ściąganiem rybiej łuszczyki.

Kapelusz dla małej panienki.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 24.

Kapelusz wykonany z białego batystu namarszczonego na sznureczki, ozdobiony podług ryc. falbankami batystowymi haftowanymi, lekko marszczonemi. Szarfki do wiązania z batystu.

Koszulka dla dziecka.

Rycina Nr 13 w Bl. Nr 24. (Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 43 i 44).

Skrajać z płótna fig. 43 jedną część a fig. 44 dwie części z materiału złożonego wzdłuż środka. Wykonać oznaczony rozporek i szwy na ramieniu od 77 do 78, rękawki zeszyć od 79 do 80 i wszyć w koszulkę, trafiając 80 na 80. Dolny brzeg obrabić, wycięcie zaś szyi i rękawki ozdobić ząbkami dzierganymi.

Długa sukienka.

Rycina Nr 16 w Bl. Nr 24. (Krój pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 45 i 46).

Sukienka z batystu białego w paski; wstawki koronkowe 4 c. szer. oraz koronka 11 i 9 c. szer. Najprzód wykonać stanik podług ryc. i wskazówek, na który skrajać fig. 45 jedną część złożoną wzdłuż środka i fig. 46 dwie części. Paski batystowe oraz wstawki koronkowe dochodzą do nacięcia oznaczonego podwójną linią. Połączyć plecy i przednie części podług cyfr. Górny brzeg otoczyć paskiem batystowym 1½ c. szer. Wyłożenie z koronki 9 c. szer. w odległości 1½ c. od górnego brzegu, który przewlec różową morową wstążką 1 cen. szer. Paski otoczone koronką 9 cent. szer. Spódnica 42 cent. dług. a 190 cent. obwodu przybrana wstawkami, pod którymi materiał należy wyciąć. Dolny brzeg otoczony koronką 11 cent. szer. Tylną część zaopatrzyć w rozporek 24 c. dług. a prawy bok na 52 c. od górnego środka a 8 c. od górnego brzegu nacięciem 27 c. długiem. Spódniczkę w górnym brzegu zmarszczyć w fałdki, przyszyć



Nr 1. Suknia z materiału jedwabnego i „crêpe de chine.“ (Opis odwr. str. tabl.).

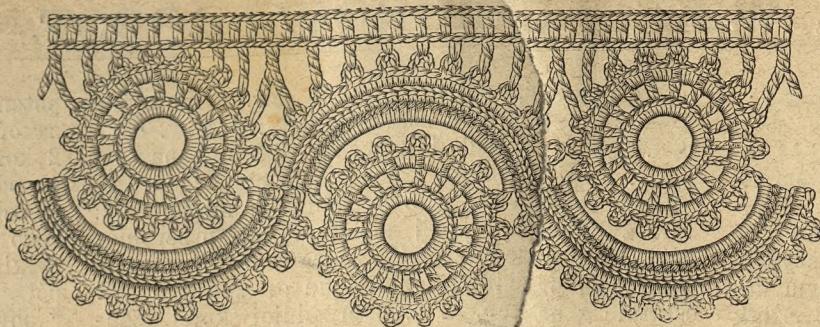
Nr 2. Suknia z „surah“ i fularu w desen.

do stanika i otoczyć podług ryc. koronką. Przez nacięcie w staniku przewlec różową morową wstążkę 4 cent. szer. do wiązania na kokardę na boku. Staniczek zapięty w tylnej części na guziczki perłowe i odpowiednie dziurki.

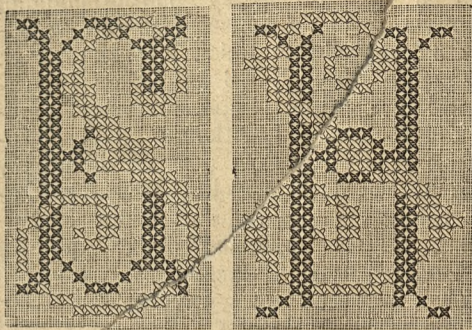
Długi płaszcz i kapelusz.

Rycina Nr 24 i 25 w Bl. Nr 24. (Krój odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 61—65).

Płaszcz z kaszmiru koloru białego ozdobiony szlakiem wykonanym jedwabiem białym na 22 c. szer. Po dopełnieniu złożenia fig. 61 i przydłużeniu takowej w kierunku strzałki, skrajając podług fig. 61, 63 i 68 po jednej części złożonej wzdłuż środka. (Fig. 61 i 68 przedstawia szlak spodniego brzegu). Podług fig. 62, 64 i 65 po dwie części. Podług fig. 66 klapki na rękawy. Zaopatrzyć fig. 61 — 65 podszewką białą z lekkiego wełnianego materiału oraz lekkim podkładem z waty. W górnym brzegu wykonać fałdy trafiając każdy \dagger na kropkę. Karczki zeszyć od 31 do 32 i przyszyć od 27 do 28 i od 29 do 30, przyczem należy dać wypustkę. Wycięcie szyi wszyć w pasek biały atlasowy i przyszyć guziczki oraz wydziergać

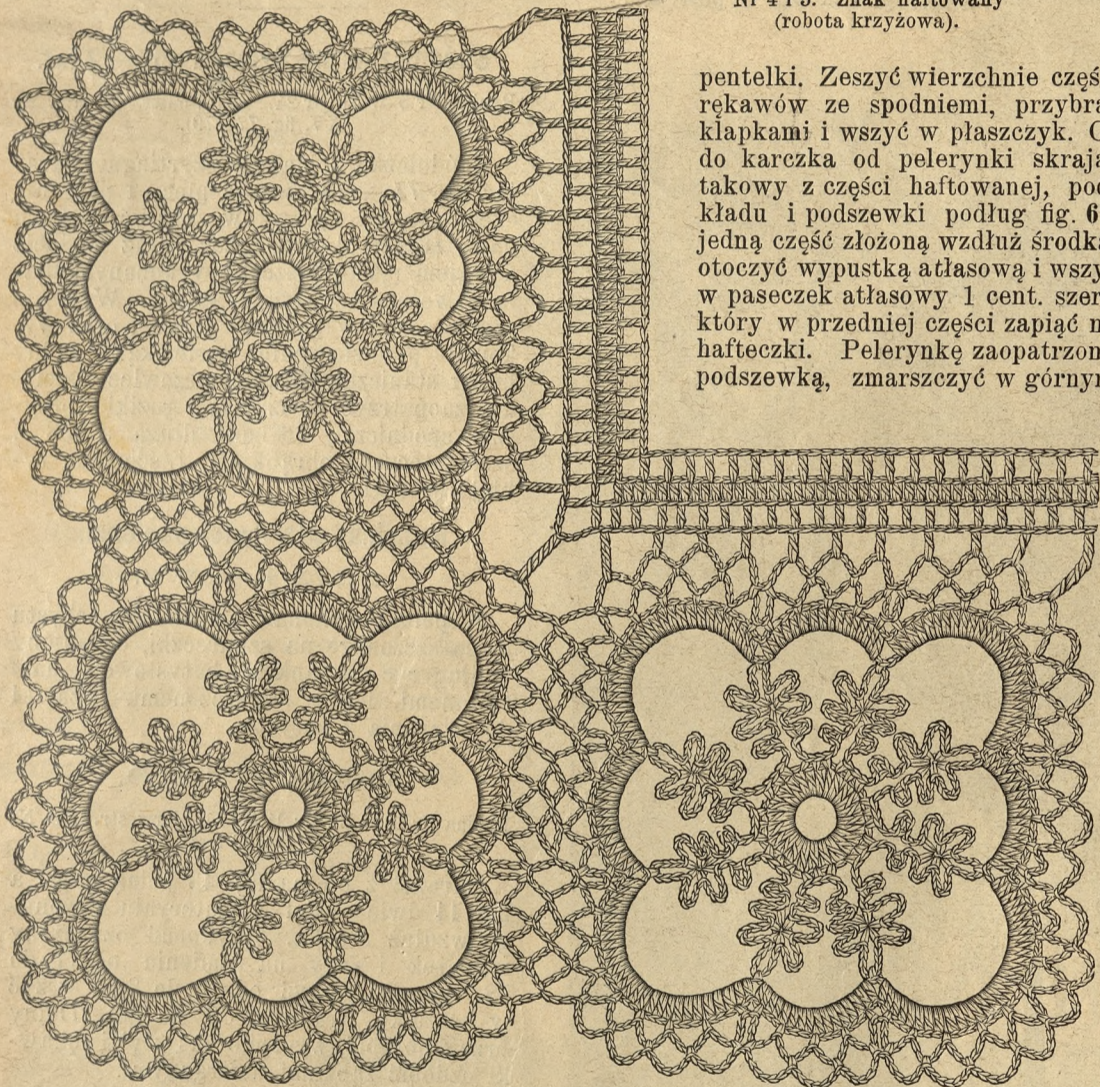


Nr 3. Koronka (robota szydełkowa).

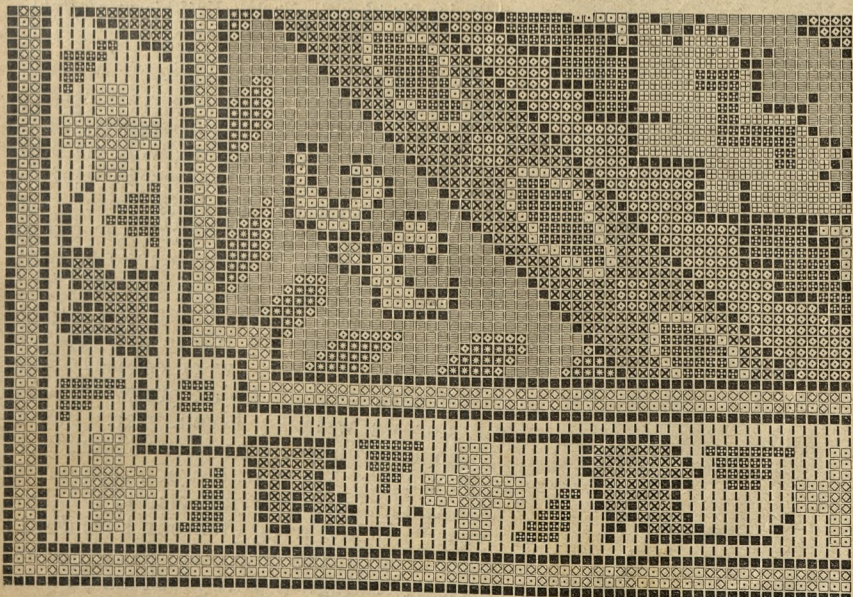


Nr 4 i 5. Znak haftowany (robota krzyżowa).

pentelki. Zeszyć wierzchnie części rękawów ze spodniami, przybrać klapkami i wszyć w płaszcz. Co do karczki od pelerynki skrajając takowy z części haftowanej, podkładu i podszewki podług fig. 67, jedną część złożoną wzdłuż środka, otoczyć wypustką atlasową i wszyć w paseczek atlasowy 1 cent. szer., który w przedniej części zapiąć na hafteczki. Pelerynkę zaopatrzoną podszewką, zmarszczyć w górnym



Nr 7. narożnik na serwetę, poduszkę i t. d. (robota szydełkowa).



Nr 8. Deseń na poduszkę Nr 9. Objaśnienie znaków: ■ ciemno-bronзовый, □ ciemno-pon., ◻ jasno-pon., * ciem.-szafir., ◻ jasno.-niebies., * ciem.-oliwk., ◻ jasno-oliw., ◻ ciemny, ◻ jasny, ' najjaśniejszy piaskowy.



Nr 9. Poduszka (do ryc. Nr 8).



Nr 6. Suknia z lekkiej wełny do Nr 16. (Krój i opis pierw. str. tabl.)

brzegu kilka razy w równych odstępach, aż do linii, umocować w przedniej części każdy \dagger na kropce i wszyć w karczki od 38 do 39. Przyszyć wstążki do wiązania 5 centimetrów szerok. Kapeluszik z krepy chińskiej koloru żółtawego wykonany na drucikach, ozdobiony plisowaną koronką 2 c. szer. układaną w kontrafałdy, oraz jedwabną wstążeczką 3 cent. szer.

Długa spódniczka.

Rycina Nr 26 w Bl. Nr 24. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 47 i 48).

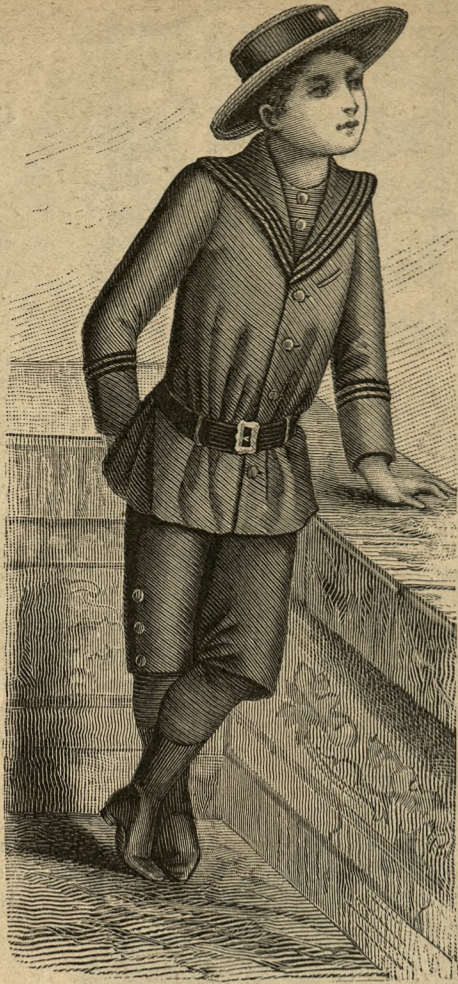
Spódniczka z barchanu w deseń, wycięcie szyi i ramiączka ozdobione dzierganymi ząbkami. Skrajając fig. 47 jedną część złożoną wzdłuż środka. Podług fig. 48 dwie części. Zaopatrzyć podszewką z perkalu. W lewej połowie wzdłuż linii podwójnej wykonać nacięcie, obrzucić takowe i obydwie części ozdobić dzierganiem. Następ-

nie przyszyć ramionczka od 85 do 86 za pomocą dziurki i guziczka w miejscu oznaczonym * i zaopatrzyć tylny dolny brzeg stanika tasiemką. Spódniczkę skrajać 79 c. długą, 139 cent. szeroką, ozdobić haftem, górny brzeg zmarszczyć w fałdki na 50 c. i połączyć ze stanikiem. Tasiemkę w tylnym prawym brzegu stanika przeciągać przez nacięcie i tasiemki związać na przodzie.

Ranna sukienka dla dziecka od 1—2 lat.

Rycina Nr 27 w Bl. Nr 24. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 69—73).

Sukienka z flanelki białej w paski ponsowe, zaopatrzona podszewką z lekkiej białej flanelki. Dolna część spódniczki, rękawki i kołnierzyk ozdobione ząbkami dzierganymi ponsową bawełną. Skrajać z białej flanelki fig. 69 jedną część złożoną wzdłuż środka, podług fig. 70, oraz z flanelki i materiału, podług fig. 72 i 73, z materiału zaś podwójnie złożonego podług fig. 71 po dwie części. Pokryć przednią część od środka i plecy pomiędzy dwoma liniami materiałem ułożonym w fałdy, dalej zaś gładko. Fałdy w części przedniej ułożone prostopadle ozdobić dwoma rzędami ściegu gałązkowego bawełną ponsową. Połączyć przednie części z plecami i w tylnej



Nr 12. Ubranie dla chłopca od 6—8 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 52—58).



Nr 10 i 11. Suknia z perkalu. Przód i plecy. (Krój i opis odwr. str. tabl.).

przyszyć po lewej stronie pasek z szyrtingu i w miejscach oznaczonych *, oraz oznaczonych dwukropkiem guziczki. Na obydwóch górnych dwukropkach prawego guziczki a lewego dziurki. Włożywszy majteczki należy w dolnej części znajdujące się dziurki zapiąć na obydwóch guziczkach prawego boku, jako też na 3 dolne guziczki lewego przedniego brzegu.

Ubranie niańki.

Rycina Nr 29 w Bl. Nr 24.

Spódnica gładka i takiż stanik z materiału wełnianego w ciemnym kolorze. Fartuszek z szyrtingu, chustka obszyta z półbatystu obszyta falbanką haftowaną. Czepeczek z tegoż materiału ozdobiony wstążką.



Nr 13 i 14. Fartuszek dla dziewczynki od 7—9 lat. Przód i plecy. (Krój i opis odwr. strona tabl. Nr IX, fig. 66—69).



Nr 15. Suknia z „foullé” i jedwabiu w deseń. Plecy do Nr 18.



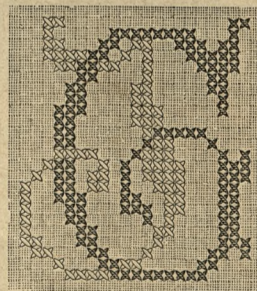
Nr 16. Suknia z lekkiej wełny. Przód (do ryc. Nr 6). Krój i opis pierw. str. tabl.

części wykonać dziurki i przyszyć guziki. Dolny brzeg stanika otoczyć wypustką i przyszyć spódniczkę długą 39 cen. a 160 c. szeroką. Wszyć kołnierzyk od 44 do 45, połączyć wierzchnie części rękawów ze spodniami, przybrać 5 cent. szerokimi klapkami i wszyć w sukienkę.

Majteczki z pieluszką.

Rycina Nr 28 w Bl. Nr 24. (Kr. odwr. str. tabl. Nr XVII, fig. 81).

Skrajać z białej flanelki fig. 81 jedną część złożoną wzdłuż środka, wszyć takową w górnym brzegu w pasek 5 cent. szer. 61 c. długi z flaneli podwójnie złożonej. W tylnej części przystębnować pasek na 18 c. do przeciągnięcia tasiemki krzyżowo. Przednią część zaopatrzyć w guziki i dziurki. Dolną część otoczyć falbanką flanelową 2½ c. szer. ozdobioną haftem; do wolnego jeszcze zewnętrznego brzegu



Nr 17. Znak haftowany (robota krzyżowa).



Nr 18. Suknia z mataryalu „foullé” i jedwabiu w deseń.



Nr 19. Paltocik z sukna. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 59—65).

Napierśnik.

Rycina Nr 30 w Bl. Nr 24. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIX, fig. 83).

Skrajać z piki białej w deseń podwójnie złożonej fig. 83 z materiału złożonego wzdłuż środka. Otoczyć falbaneczką haftowaną 2 c. szer., wycięcie zaś szyi wypustką. Tylne górna część zapina się na dziurkę i guziczek, dolna wiąże się na tasemki.

Suknia dla panienki od 1 — 2 lat.

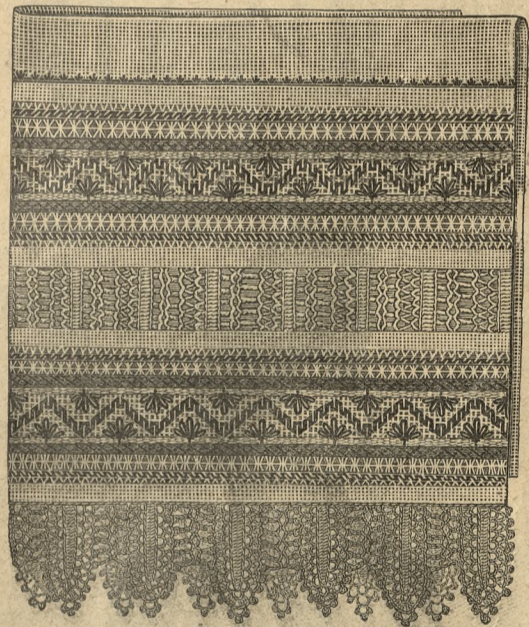
Rycina 31 w Bl. Nr 24. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 74—76).

Uszyć jak wskazuje ryc. część z pasków haftowanych i z batystu białego ułożonego w drobne zakładki na część przednią podług fig. 74 jedną część złożoną wzdłuż środka; tylko z batystu fig. 75 dwie części, z haftu zaś fig. 76. Zeszyć przednie części z plecami podług cyfr; w tylnej części wykonać dziurki i przyszyć guziki. Wszyć rękawki ułożone w fałdy, trafiając w 53 na 53. Wycięcie szyi ozdobić falbanką haftowaną 5 cent. szer. i ozdobić ścięciem rybiej łuszczyki. Dolna część stanika zakończona obrębem, przez który przeciągnąć należy wstążkę i przyszyć spódniczkę haftowaną 27 cent. długą k 178 c. szer. Górny brzeg tejsze z białego batystu w drobne zakładki. Szarfa kolorowa wykończy całość.

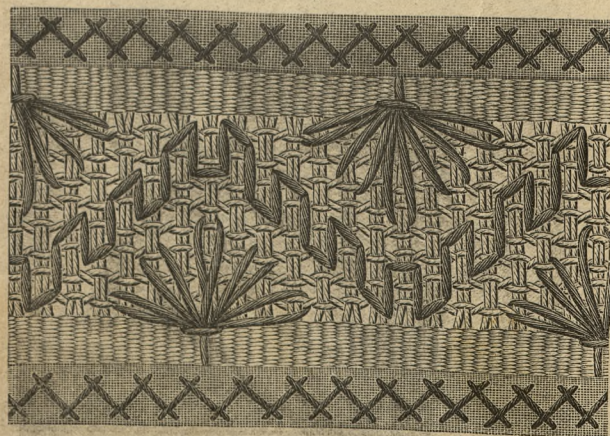
Kaftanik dla dziecka od 1—2 lat.

Rycina Nr 32 w Bl. Nr 24. (Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 21—26).

Kaftanik wykonany z białej flanelki, zaopatrzony lekką podszewką z jedwabnego materiału. Skrajać fig. 21, 24 i 25 po dwie części. Podług fig. 22 i 23 po jednej części złożonej wzdłuż środka, podług fig. 26 klapki na rękawy. Połączyć podług cyfr fig. 21 i 22 wszyć kołnierzyk od 49 do 50, przy-

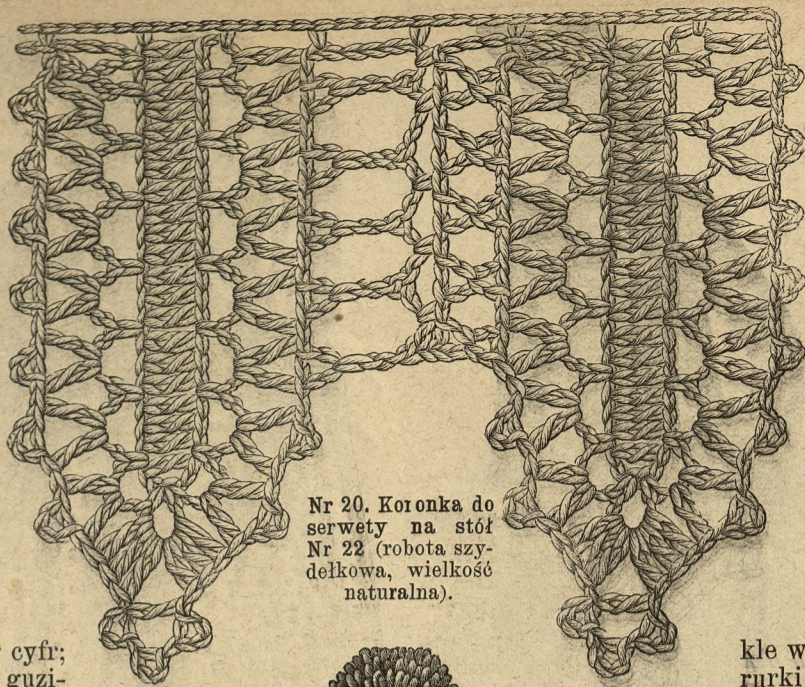


Nr 22. Serweta na stół z haftem i szydełkową ozdobą.



Nr 25. Szlak haftowany do serwety Nr 22.

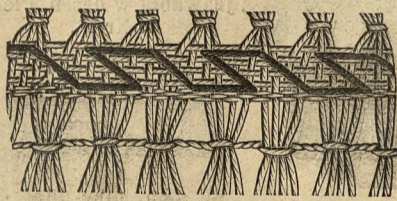
Доволено Цензурою. Варшава, 6 Іюня 1890 г.



Nr 20. Koronka do serwety na stół Nr 22 (robota szydełkowa, wielkość naturalna).



Nr 21. Teczka na gazety z haftem aplikacją. (Deseń odwr. str. tabl. Nr X, fig. 70).



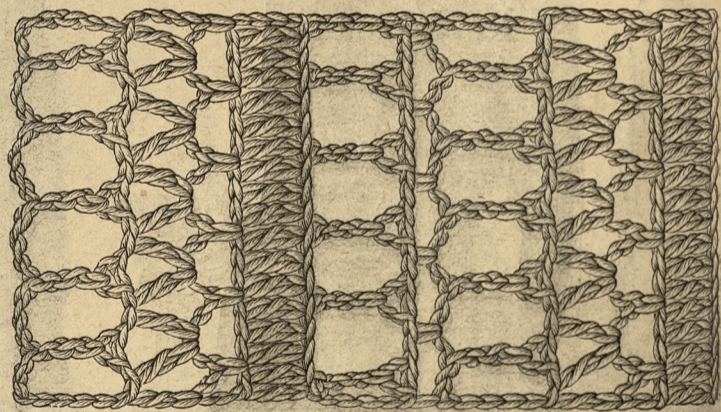
Nr 23. Szczegół do serwety Nr 22.

brać rękawki po zeszytciu takowych i wszyć w kaftanik. Całość ozdobić haftem i ząbkami dzierganymi jedwabiem różowym.

Poszewka na podróżną poduszkę. (Ścieg płaski, rybiej łuszczyki i pocztowy).

Rycina Nr 24.

Poszewka odpowiedniej wielkości do poduszki wykonana z lnianej tkaniny koloru szarego. Zapina się z boku, na co przy krajanu należy dodać materiału. Wierzchnia część ozdobiona haftem wykonanym bawełną ponsową. Kontury ścięciem gałązkowym, pojedyncze zaś figury wypełniać wyżej wymienionymi ścięgami.



Nr 24. Wstawka do serwety Nr 22 (szydełkowa robota).



Nr 26. Serwetka. Haft atłaskiem, ścięciem gałązkowym i supelkowym. (Deseń pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 34).

Przepisy gospodarskie.

Ciastka francuzkie w rurkach z pianą z białek.

Interesuje nas zawsze, jakim sposobem w ciastkach rurkowych umieszczają krem lub pianę. Otóż zrobić ciasto francuzkie podług przepisu podanego „w Jedynych praktycznych przepisach wyd. 13.“ Z papieru grubego sztywnego porobić rurki grubości świecy stearynowej, te rurki obwinąć surowem ciastem francuzkiem, grubości tylec noża i wstawić na blasze w gorący piec, posmarowawszy rozbitym jajkiem i posypawszy cukrem (mączką). Gdy upieczone, wyjąć rurki z papieru co bardzo łatwo idzie i przez szprycę blaszaną, którą się ma zwykle w kuchni do ciasta parzonego itp., napełnić owe rurki z ciasta następującym kremem. Ubić na ciasto z $\frac{1}{2}$ funta mąki 6 białek na sztywną pianę—mieć gęsty bardzo syrop do perełki usmażony (patrz różne gatunki syropu Kalendarz Koleda rok 1889 Nr 2), na gorący syrop lać ubite białka, bijąc dalej, aby się równa piana zrobiła w gorącym rondlu, ale już nie na ogniu i zaraz napełniać szprycą owe rurki. Tym samym sposobem napełniają się owe rurki czekoladowe bitą słodką śmietanką.

L. C.

Obiad na Niedzielę.

1. Chłodnik.
2. Ozór solony.
3. Szparagi krajane ze śmietanką.
4. Pieczeń barania z sałatą. ()
5. Bułeczki nadziewane konfiturami.

UWAGA

Tablica krojów, objaśniająca, wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, służy też do Nr 26.